

**BEZ
DEKRETU**

NR 14 KRAKÓW

1986. 3. 14.

BEZ DEKRETU

1986

BEZ DEKRETU

*Pismo członków i sympatyków
„SOLIDARNOŚCI”*

NR 14

Kraków - 1986

Spis treści:

| | |
|---|----|
| 1. Paweł Adamski - Robinson i zamknięte drzwi | 3 |
| 2. Stanisław Małopolski - Gierek wkracza na Kreml? | 9 |
| 3. Nie wiadomo gdzie to idzie - Rozmowa z członkiem dyrekcji Huty im. Lenina | 14 |
| 4. Ernest Skalski - Economic-fiction | 23 |
| 5. Marek Strzała - Wielki konaensus | 28 |
| 6. Mateusz Zawieja - Zdrowy dwubiegunowy model | 32 |
| 7. Tadeusz Szyma - Legenda o Świętym Jerzym | 39 |
| 8. Stach Ostróżko - Apostołka czynu | 40 |
| 9. Yves Guy Bergès - Rumunia - narodziny Ubukaresztu | 48 |
| 10. Leszek Szaruga - Głupie polskie sny o wolności | 53 |
| 11. Kornel Filipowicz - Ze wspomnień mojego przyjaciela. Opowieść o kapitanie M. | 61 |
| 12. Konrad Struga - Yes | 71 |

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów -
z wyjątkiem moich - Konrad Struga

Copyright by BEZ DEKRETU

© Przedstawiciel "Bez Dekretu": Agnieszka Kołakowska
Paryż, Francja

Na prośbę S dziękujemy Joannie za 500

Robinson i zamknięte drzwi

Już nieraz się przekonałem, że nie należy wyrzucać starych, niewykorzystanych notatek. Bo na ich marginesie dopiero czas może właśnie dopisać pointę, której brakowało zanotowanej w pośpiechu rozmowie, zarejestrowanemu na wszelki wypadek zdarzeniu. Czas z nieubłaganą logiką dokonuje epilogi zaczęty i urwany w pół zdania reportażem z dziennikarskich notatek, weryfikuje bohaterów. Z perspektywy takiego epilogu wypowiedziane kiedyś czyjeś słowa mogą stać się nieważne, lekkie jak puch lub odwrotnie - zyskać nadspodziewany ciężar gatunkowy.

O tym wszystkim muszę myśleć, wertując notatki z 1980 roku. Wśród nich jest niedrukowana nigdy rozmowa z Bogdanem Borusewiczem.

Nie została opublikowana, bo w tamtym czasie zbyt wiele rzeczy było wartych opisania, przy niedostatecznej ilości miejsca dla publikacji. Ale w istocie chodziło o coś innego - rozmowa kryła w sobie potencjalną możliwość, zapowiedź czegoś większego niż to, co w niej było, wydała mi się niedokończoną. Potem wybuchł stan wojenny i zaczął się pisać sam jej ciąg dalszy: Borusewicz zszedł do podziemia, wcześniej, 13 grudnia 1981 roku zjawił się w Stoczni Gdańskiej, by organizować opór. Nie należał wówczas do władz "Solidarności", wyłączył się przed miesiącem. Można także powiedzieć, że został wyłączony, tacy jak on, o stosunkowo umiarkowanych poglądach musieli skapitulować wobec przywódców, którzy poddawali się fali żywiołu. Poza tym jego KOR-owska przeszłość wystawiała mu w oczach azerkiej opinii związkowej świadectwo osoby kontrowersyjnej. Przy okazji tematu: KOR - najlepiej zawsze było widać, jak wielki sukces odniosła władza poprzez cierpliwe nazywanie białego czarnym. Niby już nikt taj władzy nie wierzył, ale prawie nikt też nie lubił i "tych KOR-owców".

Tak więc Borusewicz jako człowiek bez mandatu nawet na szczeblu zakładowym w dniu 13 grudnia 1981 roku nie musiał się znaleźć za bramą Stoczni Gdańskiej, by kierować atakiem, nie miał tego obowiązku. Poszedł tam jednak i wziął to na siebie, gdy się zorientował że Stocznia pada z braku doświadczonych przywódców. Tym pierwszym gestem skazał się na los podziemny.

O Borusewiczu w konspiracji sporo dowiadujemy się z "Konspiry", moim zdaniem najbardziej niezwykłej spośród wszystkich książek dokumentalnych, jakie ukazały się od 1981 roku. "Konspira", napisana przez zawodowych dziennikarzy, i to po robocie sądząc - dobrych, została stworzona przede wszystkim przez samych leaderów podziemia, dzięki ich szczerości, jak i odwadze pokazania prawdziwej twarzy zarówno własnej, jak i ruchu, aktywów i pasywów podziemnej "Solidarności".

Na tle tej bohaterkiej siódemki, którą znamy pod wspólną nazwą Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, osobowość Borusewicza wydaje się szczególnie frapująca przez swoją skromność i dojrzałość, a także jakiś dobrze uchwytny, choć świadomie powściągany ton determinacji i zarazem goryczy.

W pierwszych dniach stycznia tego roku Borusewicz dał się złapać. Jako przedostatni z nich siedmiu/"pod podłogą" został już tylko Bujak; Lis, Frasyniuk i Jedynek wpadli wcześniej, Hall i Szumiejko się ujawnili/.

I to jest ten epilog.

Borusewicz, któremu wiele razy udało się uciec z zasadzki, skaczący ze swego mieszkania na III piętrze w Sopocie prosto w krzaki, konspirator, o którym funkcjonariusze SB lubią mówić: "zawodowy rewolucjonista" wpadł w kocioł w rozpracowanej przez Służbę Bezpieczeństwa drukarni.

Dlaczego on sam nosił papier? A może także sam drukował? Może brakuje już chętnych?

Dlaczego tak przebiegły i doświadczony konspirator nie przestrzegał tym razem koniecznych środków ostrożności? A może miał dość? Każdy człowiek ma przecież swoją granicę zmęczenia. Borusewicz był jednym z tych, na których się w PRL-u poluje całymi latami. Wliczając w to okres KOR-u równe dziesięć lat. Wystarczy tylko zdecydować się w pewnym momencie wejść na drogę prawdy. A potem postanowić, że skoro się powiedziało a, trzeba powiedzieć b...

Wróćmy teraz do zapisanej w notesie rozmowy. Naprzód parę słów o towarzyszących jej okolicznościach.

Jest jesień 1980 roku, z jej niepowtarzalną atmosferą niecierpliwości i nadziei. Dzięki notatkom wiem, że był to dzień 29 września. W dawnym Hotelu Morskim, teraz siedzibie Regionu Gdańskiego odbywa się posiedzenie Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego "Solidarności". Delegacje regionalnych komitetów składają meldunki o gotowości strajkowej w regionach w związku z przeciągającą się realizacją postulatu płacowego oraz perturbacjami w zarejestrowaniu i zorganizowaniu Związku. Porusza się też inne problemy, które - jak pamiętamy - narastały lawinowo. Są obawy, że wybuchną dzikie strajki.

Katowice: tu jest teraz taki amok, który się przebudza i może być gorąco. My nie możemy zadrażniać, żeby nie stracić kontroli. Okazuje się, że MKZ Jastrzębie liczy już 2 miliony 800 tysięcy członków.

Wałęsa mówi: ja myślę, że u nas będzie dobrze, coraz lepiej, bo nie może być inaczej. - Ma właśnie imienniny i zaprasza wszystkich do domu na kielicha. - Ale potem, bo teraz musimy załatwić sprawę ważniejszą, polskie. - I dalej będziemy tu czekać na wiadomość od Mazowieckiego, jak tam przebiega rejestracja, więc możemy sobie podyskutować.

W dyskusji pojawia się drażliwa kwestia KOR-u.

Wałęsa: chciałem coś wyjaśnić. Że korzystałem z ich pomocy. Także materialnej. I z rady. Nie mówię, że należy współpracować z KOR-em jako organizacją, ale dlaczego nie współpracować z wybitnymi ludźmi, którzy tam są.

Okazuje się, że jest to wstęp do konkretnej propozycji. Proponuje do Prezydium MKZ Bogdana Borusewicza, "który nam tu dużo pomaga od początku".

Kazimierz Switoń ze Śląska oponuje /Switoń był z kolei wapółzałożycielem i głośnym działaczem Wolnych Związków Zawodowych/: my działacze związków opozycyjnych nie powinniśmy wchodzić do ruchu związkowego, on ma pozostać apolityczny.

Ten gest bezinteresowności ma uwzględniać alergię władzy na KOR. Ale czy jest słuszny? W każdym razie utrwała skłamaną przez propagandę stereotyp.

Delegat z Lublina: Wprowadzenie w tej chwili znanych działaczy KOR-u do Komitetów utrudni nam organizowanie Związku. Ja u siebie tracę zdrowie, żeby ludziom wyjaśnić, że to nie są agenci imperializmu. Ale dopóki nie będzie tego wyjaśniać prasa, nie możemy tych kandydatów forsować, to nietaktyczne.

Ktoś, w kim odruch moralny bierze górę nad taktyką woła: ludzie, zastanówcie się, kto bronił robotników po Radomiu i Ursusie!

Wałęsa w zdenerwowaniu: przetrnijmy to. Jak długo mamy bać się prawdy? A kim byliśmy my, jak nas przedstawiano? Kim ja byłem, że zwalniałno mnie ze wszystkich zakładów?

Ale, jak to zwykle u niego, za moment bardziej elastycznie próbuje pogodzić ogień z wodą, moralność z tak zwaną koniecznością polityczną. Wobec dużego sprzeciwu wycofuje się z forowania kandydatury Borusewicza do Prezydium MKZ, obstałe natomiast przy jego wejściu do Zarządu Regionu.

W takiej sytuacji, dla Borusewicza z pewnością nieprzyjemnej, przyłączam się do grupki dziennikarzy zagranicznych, którzy uważają, że

jest to najlepszy moment do przeprowadzenia z nim wywiadu. Obok ekipa gdańskiej telewizji, filmująca obrady, dokonuje ekwilibrystycznych sztuczek, żeby "korowiec" nie znalazł się przypadkiem w kadrze.

Przytaczam tę rozmowę w całości, po dokonaniu tylko koniecznych zabiegów stylistycznych.

- Jaką rolę Pana zdaniem odegrało pisko KOR-owskie "Robotnik" w przygotowaniu środowisk robotniczych do tych wydarzeń, jakie nastąpiły w sierpniu w Stoczni Gdańskiej i zakończyły się powołaniem Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego "Solidarność"?

B.B. - Uważam, że "Robotnik" i środowiska wokół niego skupione odegrały rolę decydującą dla kształtu i przebiegu ataku. Nie była to bezpośrednia ingerencja, zresztą, to co się stało, wykraczało poza nasze przygotowanie teoretyczne. Ale "Robotnik" od 1976 roku prowadził pracę budzenia świadomości i celów, pokazując robotnikom, że są przedmiotem manipulacji. W efekcie zajmował się tworzeniem elit robotniczych, które umiałyby wyartykułować to, o co im chodzi.

- Redakcja jednak składała się z inteligentów?

B.B. - Tak. I z początku nawet nie bardzo wiedzieliśmy, jak pisać, jakim językiem przemawiać, by być zrozumianym i czy w ogóle zyskamy rezonans. Jednak "Robotnik" stał się pismem czytanim i to nie przez obniżanie poziomu.

- W jakim momencie zyskaliście do współpracy samych robotników?

B.B. - Ich pomoc była konieczna. Pismo przede wszystkim nie miałoby szans bez kolportażu. Udało nam się stopniowo zorganizować siac kolporterów w zakładach pracy. W Trójmieście była to grupa bardzo efektywna. Większość spośród nich to byli potem aktywni organizatorzy strajków.

- Kiedy w ogóle ruch się zaczął na Wybrzeżu?

B.B. - 1 maja 1977 roku. Na gruncie KOR-owskim powstała grupa kilku osób, która zdecydowała się współpracować z robotnikami. Komitet Założycielski był oparty na tych ludziach, którzy się angażowali od czasu Radomia i Ursusa. Potem nawiązaliśmy kontakt ze Stoczną Gdańską. Szły tam regularnie partie "Robotnika" w ilości kilkuset egzemplarzy. "Robotnik" był najbardziej regularnym spośród wszystkich pism opozycyjnych, ukazywał się co dwa tygodnie i jak na warunki podziemne miał duży nakład - 10-15 tysięcy. Ostatni numer przed strajkiem gdańskim, informujący o narastaniu w kraju nastrojów strajkowych - nawet 30 tysięcy. W "Robotniku" cały czas lansowaliśmy pogląd, że do przeprowadzenia w Polsce istotnych zmian niezbędna jest współpraca inteligencji z robotnikami.

- Jednak do kręgów robotniczych inteligencji było się dotąd jakoś trudno przebić. Czy była to kwestia braku właściwego zaangażowania?

B.B. - Przeszkody były różne w różnych okresach. I tym razem ja też wiedziałem, że po pierwsze władze będą się najbardziej sprzeciwiać działalności w tym środowisku, że to będzie poddane największej inwigilacji. Po drugie - w opozycji można też było robić przyjemniejsze, łatwiejsze rzeczy - czytać książki, dyskutować. Ale ja zawsze uważałem, że najważniejsze jest jednak wejście do zakładów i że ktoś to musi robić.

- Kto z działaczy gdańskich najwięcej się dla tej sprawy zasłużył?

B.B. - Potem już było sporo osób. Jako organizatorzy Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych na Wybrzeżu wystąpili Gwiazda i Wyszkowski. Ja z ramienia KOR tylko jako doradca. Leszek Wałęsa zgłosił się do nas w 1977 roku, gdy na znak protestu po skazaniu Wyszkowskiego na dwa miesiące aresztu podjęliśmy głodówkę.

- Teraz KOR i "Robotnik" stoją przed problemem: co dalej? Czy macie zamiar istnieć obok "Solidarności", czy się w nią wtopić?

B.B. - Jeśli te związki rozwiną się tak, jak zamierzają, to my musimy albo zmienić formułę albo w ogóle się wycofać. Ale na razie jeszcze nadal napływają do nas skargi od ludzi, prośby o interwencję. Nawet pan Switoń, choć pod boki ma hutę, o pomoc zwraca się tymczasem do

KOR-u. Jednak w przyszłości obronę powinien robotnik znaleźć w Związku. Z tym, że w tej chwili sytuacja tego ruchu związkowego nie wygląda aż tak dobrze. Wygląda raczej tak - Borusawicz zwraca się do dziennikarki brytyjskiej - jakby w Anglii, gdzie jest lewostronny ruch kołowy - wprowadzono jeden pas dla ruchu prawostronnego i w dodatku pozwolono jeździć nim tylko wozom ciężkim. Istnieje poważna obawa, że ten nowy ruch związkowy może być wchłonięty.

- Jak w takim razie powinno według Pana wyglądać życie społeczno-polityczne w socjalistycznej Polsce z wmontowanym w nie nowym elementem - "Solidarnością"?

B.B. - Tego nie wiem. To bardzo trudny problem w naszej delikatnej sytuacji. Delikatnej ze względu na położenie geopolityczne. Jednak przemiany muszą się dokonywać. Droga ewolucji, nie rewolucji, żadna konfrontacja tu nikomu nic nie przyniesie.

- Ale jak Pan to sobie wyobraża - jak zdołacie utrzymać to, co już macie i pójść jeszcze dalej bez naruszania władzy, która może wam przecież wazytko powoli odebrać?

B.B. - Musimy naciskać na instytucjonalne gwarancje, bo personalne rozszady nic nam nie dają i na tych odwojowanych po kawałku polach utrwalają je. Gdyby w perspektywie udało się wprowadzić do sejmu grupy krytyczne, stojące na socjalistycznym gruncie ustrojowym, wywalczyć autonomię placówek naukowych, niezależność prokuratury od milicji, niezawisłość sądu, ograniczenie cenzury, zmiany w zarządzaniu spółdzielczością zgodne z jej duchem, szeroki margines swobody dla organizacji społecznych - gdybyśmy do tego doprowadzili, można by już spać spokojnie, a sama "Solidarność" mogłaby się zająć sprawami ściśle związkowymi.

- Czy kierownictwo "Solidarności" ma pełną orientację, czy jest w stanie ogarnąć te wszystkie sprawy i zjawiska, które zachodzą aktualnie w ruchu związkowym?

B.B. - Myślę, że nie. Z powodu blokowania dla nas środków masowego przekazu. Z czasem tę barierę moglibyśmy przeskoczyć mając własną poligrafie. W tej chwili nie mamy jeszcze możliwości, żeby prowadzić akcję wyjaśniającą, co to jest "Solidarność", do czego dąży i jak przekonywać albo naciskać władze. Dla naszych potrzeb istniejąca poligrafia opozycyjna to o wiele za mało. Zresztą oni prowadzą swoją własną działalność.

- Powiedział Pan przed chwilą o opozycji "oni", utożsamiając się z "Solidarnością", która opozycją nie jest, nie ma być. Tymczasem słyszeliśmy dziś podczas dyskusji, że tam z kolei uważa się Pana za opozycjonistę i traktuje z tego względu jak osobę, która może przyporządzić kłopotów. Więc kim Pan właściwie jest, za kogo Pan się ma?

B.B. - Właśnie, kim ja jestem? Wiem jedno, że sypiam parę godzin na dobę, nie bywam w domu. I że jest nas za mało, działacze świadomych. Tak to jakoś odczuwam. Nie mamy czasu podjąć dyskusji teoretycznej nad tym, co się teraz dzieje w Polsce, co się może dziać. Taka dyskusja byłaby chyba potrzebna. Wypadki wyprzedzają nasze przygotowanie. Obawiam się, że to nie jest dobre. To jest ewenement, na skalę światową, tak wielkie poruszenie społeczne, i to właśnie u nas, w kraju socjalistycznym.

- I Pan w imieniu swoim i kolegów czuje się odpowiedzialny za losy tego eksperymentu, za powodzenie "Solidarności". Ale to przecież na was władza wskazuje palcem jako na przeszkodę w ułożeniu się z nowym Związkiem, jako na tkwiący w nim cień, element antysocjalistyczny.

B.B. - No cóż, nas to przeżywanie wcale nie bawi. Do niektórych ludzi wprawdzie z taką etykietką moglibyśmy trafić, ale nie uzyskalibyśmy, jako antysocjalistyczni, poparcia robotników. Ja myślę, że my jesteśmy w całym tym towarzystwie najbardziej socjalistyczni i to nie jest tylko taktyka. Wśród starych działaczy KOR ma działacze o rodowodzie PPS-owskim, wśród młodszych także przeważa sympatia dla PPS i po-

głady socjaldemokratyczne.

- A jednak może będziecie musieli spłonąć na tym stosie jako czarownice, żeby pozwolić się realizować waszym ideałom? Pan Switoń żąda nawet więcej, byście dla sprawy chcieli się spalić dobrowolnie.

B.B. - Pan Switoń może popełnia błąd w myśleniu? Jego propozycja prowadzi może do tego, że będzie się kolejno eliminować z "Solidarności" różnych ludzi niemilych władzy. To by ją niebezpiecznie osłabiło.

- Czyli uważacie za słuszne wchodzić do struktur Związku?

B.B. - Tak, bo uważamy, że bez nas ten ruch szybko by się wykruaczył. Żeby to wszystko ogarnąć, sprostać temu, do czego nie jesteśmy przygotowani ani organizacyjnie ani psychicznie, nie jest chyba rozsądne pozbywać się ludzi z największym doświadczeniem.

- Czy Pan nie przecenia KOR-u i w ogóle opozycji? Dzisiaj, gdy narodziła się "Solidarność", organizacja tak ekspansywna, masowa, tamte, szlachetne z pewnością działania wydają się już trochę anachroniczne.

B.B. - Tak, z pewnością powstała nowa jakość, inna wartość, "Solidarność" to jest pospolite ruszenie, na tle małych, bojowych dawnych oddziałków partyzanckich. Jest to spontaniczna mobilizacja całego społeczeństwa w reakcji na nieudolność władzy. Ale teraz, i to czym prędzej, potrzebne są nawyki organizacyjne, jakaś dyscyplina, porządek. Jeśli do końca tego roku nie wytworzy się dobra kadra aktywu, to nie wiem, co będzie.

Na tym rozmowa przeprowadzona z Bogdanem Borusewiczem 29 września 1980 roku się kończy. Dodam, że nigdy nie była ona zautoryzowana. A w tej chwili jest to niemożliwe.

Następny rozdział, który dekomponowało życie, mógłby się ewentualnie zacząć od słów "a nie mówięm?". No, ale to by chyba źle dziś zabrzmiało.

O swoim stosunku do tego "dalszego ciągu" opowiada Borusewicz wczepiając w "Konapirze". W przeddzień stanu wojennego on sam i prawie wszyscy jego przyjaciele i znajomi byli już poza władzami gdańskiej "Solidarności", wycofali się na jakiś miesiąc przed stanem wojennym. Mówi: wojowałem długo, aż wreszcie uznałem, że jeśli społeczeństwo chce iść w zupełnie innym kierunku niż powinno, to niech sobie idzie. Ruch nabrał wżaaanej logiki stając się - wbrew logice - coraz bardziej radykalny /ale tylko werbalnie/. W pewnym momencie wybrani demokratycznie działacze stracili kontakt z rzeczywistością. /.../ Ku mojemu zaskoczeniu poczucie realizmu stracili także Kuron, którego znałem jako pragmatycznie trzymającego się ziemi, i Modzelewski. Nastąpił amok. Przestano myśleć kategoriami politycznymi, a zaczęto mistycznymi - że jak się powie słowo, to stanie się ono ciałem /.../. Była oczywiście wielka presja na przywódców, ale to ich nie usprawiedliwia./.../ Więc albo należało głośno mówić i jednocześnie czynić przygotowanie się na ewentualność starcia, albo nie należało gębować. Tylko kto miał to robić, kto czuwać nad przygotowaniem? Ludzie ze starej opozycji, którzy się znali i mieli do siebie zaufanie, mogli oczywiście opracować system łączności międzyregionalnej niezależnej od telekaów i telefonów, mogli zgromadzić sprzęt poligraficzny. Ale nie bardzo chcieli. Ja i moi koledzy staliśmy się dla niektórych symbolem zła, przebiegłości, gry politycznej. Nie pragnęliśmy atakować dodatkowo symbolem złodziejstwa. Przecież gdybym zamierzał wziąć i ukryć offaet czy radiostację, musiałbym to zrobić po kryjomu. /.../ Atmosfera wykluczała działania o dużym stopniu tajności. Doszła do tego fatalna, moim zdaniem, polityka kadrowa w doborze władz krajowych i naszych regionalnych /.../ W sytuacji ekstremalnej - 13 grudnia 1981 roku - zemściło się to na całym Związku.

Mimo tak aurowej oceny "Solidarności", Borusewicz w krytycznym momencie nie waha się, schodzi do podziemia. Jako pierwszy zaczyna podpisywać komunikaty w imieniu władz podziemnych właaanym nazwiskiem, by

zapewnić im wiarygodność i dać znak milionom zdezorientowanych członków Związku, że ktoś myśli organizacyjnie o całości, że trzyma rękę na pulsie.

Na pytanie autorów "Konspiracy", dlaczego wziął to na siebie, odpowiada: moje bodźce pochodzą przede wszystkim ze sfery etyki. Uważa, że aby teraz działać w podziemiu niekoniecznie trzeba zaraz mieć jasny program na przyszłość, wystarczy sprzeciw moralny i wierność pewnym wartościom.

Imponuje osobistą odwagę - nie unika ryzyka, zjawia się w sytuacjach najbardziej niebezpiecznych, i odwagą cywilną - cechuje go niezależność myśli i samokrytycyzm. Umie spojrzeć prawdzie w oczy, także jeżeli idzie o błędy polityczne współtworzonej przez niego TKK, o rozmięgnięciu się z odczuciami społecznymi. Nie uważa, że należy to ukrywać lub przeinaczać. Jest jednym z głównych orędowników "Konspiracy", książki, która przez wiele środowisk "Solidarności" została milcząco potępiona jako "dekonspira". Jego poglądy na wiele kwestii zasadniczych zaskakująco różnią się często od innych. Twierdzi na przykład, że koncepcja biernego oporu na początku stanu wojennego była nie trafna i że Nobel dla Wałęsy utrwalił kurs szkodliwy, który prowadził "Solidarność" od błędu do błędu.

Przy czym cały czas, działając w podziemiu, szuka rozwiązań kompromisowych, możliwych do przyjęcia także dla władzy. Z goryczą mówi, oceniając postawę rządzących wobec drugiej wizyty Papieża w Polsce: wszystko szło jak najlepiej i gdyby komuna wykorzystwała skłonności ludzi do kompromisu, miałyby z głowy podziemie i problem masowego oporu. Wyszło jednak azyldo z worka: amnestia okazała się kłamstwem, a ustawodawstwo stanu wojennego utrwalono pod inną nazwą.

Cóż w tej sytuacji powinno - jego zdaniem - robić podziemie?

"Przed wszystkim podsycać wolę walki w oparciu o fachowo zakonspirowaną działalność prasowo-wydawniczą. To wszystko. Lepiej nie stworzać sobie i społeczeństwu złudzeń, że można z tą władzą zwyciężyć bez ofiar. Wciąż powtarza się achemat: wszyscy pragną zwycięstwa, ale nikt nie chce ginąć. To zresztą zrozumiałe, lecz takie podejście niczego nie zmieni. Pozostaje oczekiwanie - może za 10 lat, może za 15... Jesteśmy na równi pochyłej. Należy wprowadzić znajomość tego faktu do obiegu społecznego. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, którzy zupełnie nie rozumieli sytuacji. Przychodzi ktoś i mówi, co mu się podoba w podziemiu albo wytyka błędy, czepia się nieistotnych szczegółów, lecz nie rozumie, że w tej walce należy ponieść ofiary, w tym najwyższe. Inaczej władzy nie zmusi się do pozytywnych zmian, bo postawiła na gołą przemoc. Ja po dwóch latach nie mam złudzeń". - To było powiedziane w roku 1983.

Ze względu na trzeźwość umysłu, wnikliwą inteligencję, a także przymioty charakteru takie jak odwaga przy dużej skromności i równowadze ducha Borusewicz jest w oczach tej władzy konspiratorem bardzo niebezpiecznym. Ubecja więc nieustannie tropi jego ślady, obiecuje partii i rządowi jego głowę na wybory do rad narodowych, potem - do sejmu. Ostatnio poszukiwania znów były bardzo intensywne, nachodzone prawdziwych i domniemyanych znajomych Borusewicza, egzystujących legalnie.

Czy dopomógł im przypadek? To prawdopodobne. A może poddał się przez chwilę wątplenia. To ponoć wystarczy, by ściganego opuściło szczęście.

Niedawno Borusewicz potajemnie ożenił się, urodziła mu się córka.

W rozdziale ostatnim "Konspiracy" czołówka podziemia mówi o przyszłości. Także prywatnej, własnej. Marzą, jak to będzie, gdy wyjdą spod podłogi na wolność, na światło dnia.

Borusewicz: Nie jestem jeszcze na etapie, w którym konspiracja była-by jedyną wartością życia, celem samym w sobie. To ciężka robota, świadomie przyjęty obowiązek. Jeżeli uznam, że mogę wyjść z podziemia, uczynię to z wielką radością. Chciałbym, autentycznie chciałbym wyłączyć się z działania. Tyle lat spędziłem w opozycji na pełen gwizdek,

poznałem różnych ludzi /którzy nieraz zaskakująco się zmienili/, wiem, jak funkcjonuje władza, bezpieczeństwa. Nic mnie już nie zaskoczy. Moje doświadczenie mogłoby się jeszcze przydać, ale trzeba kiedyś powiedzieć: dość /.../ Powrót na powierzoną wyobrażam sobie całkiem normalnie, niejako z marszu. Będzie on cięższy, gdy trafię wpierrw do więzienia. Lecz jeśli tylko zaisatniejje możliwość /wypuszczają więźniów politycznych, niezależny ruch związkowy uzyska obszar legalnej działalności/ wracam do domu i żenię się z dziewczyną, która czeka od dawna. Chciałbym uczyć historii w szkole średniej, mieć wpływ na młodzież. Tego rodzaju praca dawałaby mi dużą satysfakcję.

To aż boli, gdy się czyta.

Właśnie kurtyna przyażłości się uchyliła. Borusewicz czeka na proces oskarżony o działalność na szkodę państwa. Wiemy, co to znaczy.

A inni, ci nie tak znów liczni, którzy przychodzą na miejsce zła-panych? Co ich czeka?

Oby tylko nie los Robinsonów na wyapie powszechnego zobojętnienia, wśród ludzi coraz bardziej zajętych wyięcznie sobą, sprawami bytowymi, życiem rodzinnym, jakakolwiek prywatnością, byle tylko najdalej od wszelkiej polityki i takich osób, które dobrowolnie pchają palce między drzwi. Między ciężkie stalowe drzwi, oddzielające ciemną przestrzeń, w której tkwimy, od jasnej perspektywy wolności. Wtedy Bogdan Borusewicz mógłby sobie powiedzieć, że zmarnował dziesięć lat życia.

Ale może jest on jeszcze silniejszy niż się wydaje. Przecież gdy zaczął działać w KORze po 1976 roku, była to rzeczywicie tylko grupa samotnych Robinsonów. I udało im się nadwyrężyć zamki w tych drzwiach tak, że z rozpędu można je było otworzyć. Tym bardziej teraz, choć znówu zatrasnięte, nie są to już takie paraliżujące wyobraźnię drzwi.

Z tym, że szanujemy tych dzielnych, którzy mają odwagę za nas stałe piłować.

PAWEŁ ADAMSKI

Gierek wkracza na Kreml ?

W wydanym sporo przed XXVII zjazdem KPZR 11 numerze "Bez Dekretu" Jerzy Surdykowski w eseju "Historia patrzy na Gorbaczowa" analizuje dzisiejszą sytuację ZSRR i odmłodzonej ekipy przywódczej tego kraju. Dobrze, iż autor nie podziela tego naiwnego entuzjazmu do nowego szefa na Kremlu, co na Zachodzie wynika z żywotniejszej od wszystkich nauk historii i zdrowego rozsądku wiary w możliwości obłaskawienia bestii, zaś po naszej stronie "żelaznej kurtyny", niestety już tylko z chłopskiej ufności w "dobrego cara". ZSRR stoi wobec najpoważniejszych i najbardziej bezwzględnych w swej pokojowej historii wyzwań: patrząc w perspektywie dłuższej niż kilkuletnia, zagrożona jest sama potęga militarna Armii Czerwonej i pozycja tego państwa jako wielkiego mocarstwa. Tego jeszcze nie było, groźba taka stawała przed Moskwą tylko podczas wojen. Nie Ameryka, nie Reagan i jego "pershing", lecz reformujące się Chiny i technologiczna marnota radzieckiego bloku są najstraszniejszymi i najbardziej podstępnyimi dziś wrogami ZSRR. Wkraczamy w czasy, kiedy historia zaczyna brać swój nierychliwy odwet na zmuszonym totalitaryzmie, z taką ślepa konaekwencją odrzucającym wszelkie mocące go przytotosować do życia reformy. Z tej perspektywy era Breżniewa będzie oceniana znacznie ostrzej niż uczynił to Gorbaczow na XXVII zjeździe.

Teraz jednak po zjeździe moskiewskim, zmianach personalnych na kremlowskim szczycie, wiemy o Gorbaczowie i jego poczynaniach o wiele więcej niż wiedział autor tamtego, pisanego najpewniej wkrótce po in-tronizacji na sekretarski fotel, artykułu. Zgoda, że "historia patrzy

na Gorbaczowa", tak jak nie spoglądała nigdy na żadnego z kremlo-
skich przywódców z wyjątkiem oczywiście Lenina, no i Stalina w jego
wojennej presji. Ale czego się dopatrzyła? I jak pod tym przenikli-
wym spojrzeniem zachowuje się sam "gensek"?

Mijający właśnie pierwszy rok panowania Gorbaczowa pozwala nam z
całą pewnością na sformułowanie trzech poniższych tez.

Po pierwsze. Na Kremlu - chyba po raz pierwszy od czasów Lenina
i Stalina - mamy postać wybitną, nietuzinkową /nawet Chruszczow, mimo
swego antystalinizmu i przekonania, że "jakieś" reformy trzeba prze-
prowadzić, był przywódcą miernego formatu/. Gorbaczow zaprezentował
styl zupełnie inny od dotychczasowej liturgii partyjnej i sylwetkę
zupełnie niepodobną do podtrzymywanych przez "goryli" figur woskowych
podzwaniających kilogramami medali na wywatowanej piersi. Jest przy-
wódcą inteligentnym, dynamicznym, o dużej sugestywności, zdolności
przekonywania, a może nawet charyzmic; Zachód będzie miał z nim wiele
kłopotów, których dziś nawet nie umie przewidzieć. Świadczy o tym
zresztą dość bezradna reakcja USA na ostrzeliwanie Waszyngtonu coraz
to nowymi propozycjami odprężeniowymi. Jest to oczywiście propagando-
wa "wymiana ognia", ale to nie Reagan zbiera dziś w niej punkty,
zwłaszcza w Europie. Podobnie na płaszczyźnie wewnętrznej Gorbaczow
umiejętnie dyskontuje wszystkie nadzieje umęczonej Rosji na "dobrego
cara" - surową ręką rozpędzającego swoich próżniaczych i zdemoralizo-
wanych dworaków.

Po drugie. Na XXVII zjeździe KPZR w referacie Gorbaczowa, wystąpi-
niu premiera Ryżkowa i zjazdowej uchwale, zarysowano pewien ambitny,
lecz mało w dzisiejszych warunkach gospodarczo-politycznych ZSRR re-
alny program rozwoju tego kraju do końca bieżącego stulecia. Jest to
raczej "książka życzeń" głównie gospodarczych, przewidująca do roku
2000 podwojenie dochodu narodowego, 2,2-krotny wzrost wydajności pra-
cy, eksplozję postępu technicznego i nowych technologii, pokonanie
dotychczasowych barier wzrostu, zmniejszenie dystansu dzielącego ZSRR
i czołowe kraje zachodnie. Aby przejść od dotychczasowej ekstensywnej,
mało dynamicznej, pełnej inercji i biurokratyzmu gospodarki na tory
rozwoju intensywnego, nowoczesnego; aby odwrócić dotychczasowe tenden-
cje nadmiernej materiału i energochłonności, przesławnego marnotraw-
stwa, opilstwa i białagamu, trzeba było by uruchomić zupełnie nowe i
nie znane dotąd w ZSRR motory rozwoju gospodarczego. Jakże? Przecież
podwojenie dochodu narodowego w ciągu 15 lat wymaga tempa jego wzros-
tu o 5,5-5,8% średniorocznie, podczas gdy w ostatnich latach radziec-
ka gospodarka wyduszała z siebie co najwyżej 3% średniorocznie, zaś
wszyscy poważni eksperci zachodni wróżą dalsze obniżenie się tego tem-
pa, zwłaszcza wobec spadku cen ropy. Ta "książka życzeń" Gorbaczowa
zawiera właściwie wszystko, czym dysponują czołowe gospodarki zachod-
nie, a więc komputeryzację, robotyzację, elektrykę, wszystkie naj-
wyższe technologie, rozrost sfery usług i podniesienie ich poziomu,
dobrobyt materialny ludności, całą "smaczną śmietankę" współczesnej
cywilizacji. Nie zawiera tylko żadnych konkretnych wskazań jak to o-
siągnąć, a przede wszystkim nie zawiera słowa, które aż tu się prosi:
"reformy gospodarcze". Zwraca przy tym uwagę wyraźniejsze niż w jakim-
kolwiek programie czy uchwale najwyższego gremium KPZR gospodarce u-
kierunkowanie obecnie obowiązujących dokumentów partyjnych, co dzieje
się z wyraźną niekorzyścią dla spraw polityki międzynarodowej, kultu-
ry, a nawet najświętszej ideologii zepchniętych wyraźnie na drugi
plan i potraktowanych pragmatycznie.

Po trzecie. Nowemu kierownictwu kremloowskiemu niesłychanie zależy
na odprężeniu i redukcji wydatków zbrojeniowych, kładących się coraz
straszniejszym ciężarem na radzieckim budżecie; na wywikłaniu się z
beznadziejnego wyścigu zbrojeniowych technologii, w którym ZSRR tym
bardziej przegrywa, im technologie te są coraz bardziej subtelne i fi-
nazyjne, coraz mniej oparte na tonach stali i sile atomowych eksplo-

zji, a coraz bardziej na precyzji, sztucznej inteligencji, komputerowej prędkości. Widać to po ponawianych w tempie artyleryjskich salw coraz do nowych propozycjach, mających nie tyle doprowadzić do realizacji którejs z nich, ile wytworzyć coraz silniejszy nacisk opinii publicznej na Zachodzie, zmuszający tamtejszych polityków z Reaganem na czele do zawarcia folgującego radzieckiej gospodarce kompromisu. Radzę nie lekceważyć tej politycznej broni, bo opinia publiczna i parlamentarna, to na Zachodzie siła olbrzymia, zmuszająca polityków do dryfu, niekoniecznie zgodnego z ich zamierzeniami i programami; nawet na Zachodzie dzisiejszym wyraźnie ewoluującym w prawo. Taka ofensywa Kremla była od początku do przewidzenia, choć nie do przewidzenia była jej polityczna elastyczność i dynamika.

To było krótkie podsumowanie tego, co dziś - w kwietniu 1986 - wiemy o Gorbaczowie, jego ekipie i zamiarach. Nie wyjaśnił jednak ani XXVII zjazd, ani cały pierwszy rok polityczny Gorbaczowa tego podstawowego pytania i nadziei, jaką zdawało się sugerować zwołanie zjazdu dokładnie w XXX rocznicę słynnego, reformatorskiego XX zjazdu, który zapoczątkował okres destalinizacji i paruletnią "odwilż" chruszczowskich usiłowań reformatorskich, zamrożonych potem i cofniętych przez Breżniewa. Czy era Gorbaczowa ma być nareszcie od dawna już oczekiwana erą koniecznych reform, wprowadzających ducha indywidualizmu i wolnej konkurencji do zbiurokratyzowanej gospodarki radzieckiej, a pewien zakres tolerancji i praw człowieka do radzieckiego totalitaryzmu? Bo przecież bez tego całą gadaninę o "reformie" i "intensywnym rozwoju" można odesłać do krainy pobożnych życzeń, o czym aż nadto dowodnie przekonały wszystkie dotychczasowe reformatorskie czy nawet liberalizacyjne usiłowania w bloku wschodnim. Przykładów aż nadto wiele z okrzykaną "reformą węgierską" na pierwszym miajsku. Zmiany - by były skuteczne - muszą dorównać chińskim, gdzie zaczęto od faktycznej parcelacji tamtejszych kołchozów, w wyniku czego po zaledwie paru latach uzyskano żywnościową samowystarczalność przy jednoczesnej odbudowie silnej ekonomicznie i niezależnej od państwowego aparatu warstwy prywatnych właścicieli i dzierżawców ziemskich. Czy Gorbaczow okaże się nowym Piotrem Wielkim, który znajdzie w sobie dość woli i charakteru, a wokół siebie dość poparcia, by chwycić za łeb swych partyjnych bojarów i kazać im zgolić brody zastarzałych przywilejów, marazmu i bezmyślności? Jast to jedyna droga, która może wprowadzić Rosję w wiek XXI z perspektywą lepszą niż dalsze osuwanie się w społeczną i technologiczną martwość. Tylko na tej drodze można podjąć straszliwie groźne dla tej przyszłej Rosji wyzwanie chińskie. Ale jest to droga wyjątkowo niebezpieczna, bo wymagająca odmrożenia wszystkich kumulujących się przez długie dziesięciolecia sprzeczności i napięć tego systemu, spychanych dotąd pod powierzchnię życia nakazem ideologicznej Jednomyślności lub policyjną prasją. Wszak jeszcze prorocy Alexis de Tocqueville pisał - analizując dzieje Francji - że rewolucje wybuchają nie w czasach "przykręcania śruby", lecz "odwilży" i liberalizacji. A cała radziecka tradycja, cała szkoła polityczna z jakiej wywodzi się radziecki aparat /w tym i sam Gorbaczow/ jest antyliberalna, totalitarna, ćwiczyła wielokrotnie "przykrętki", po "odwilżach" ma najgorsze doświadczenia, zaś ludzie pamiętający ostatnią i właściwie jedyną udaną radziecką "liberalizację" czyli leninowski "NEP" z połowy lat dwudziestych, już dawno zeszedli ze społecznej aceny, o ile nie poginęli wcześniej w łagrach jako "odchyleńcy". Co innego w Chinach lub nawet na Węgrzech /o Polsce nie wspominając/, gdzie tradycja innego niż komunistyczny modelu życia jest wciąż żywa i są ludzie, którzy wiedzą "jak się to robi".

Tak więc ani XXVII zjazd ani dotychczasowe poczynania ekipy Gorbaczowa nie odpowiedziały pozytywnie na to najważniejsze pytanie o reformę i "odwilż". Zaprezentowany i uchwalony program KPZR jest bez tej ewentualnej reformy całkowicie nierealny, bo tylko ona mogłaby u-

ruchomicie te nowe - dźwigające wzrost i technologię - motory rozwoju. Ale przecież tak samo nierealny okazał się po cichutku przez XXVII zjazd wycofany poprzedni program tej partii, uchwalony jeszcze w czasach Chruszczowa i przewidujący - aż śmiech dziś bierze - dośnięcie USA w produkcji przeliczonej na mieszkańca i w poziomie dobrobytu ludności najdalej w połowie lat osiemdziesiątych! Czy Gorbaczow bądź jego następcą będzie równie wstydliwie wycofwał swój dzisiejszy program na trzydziestym którymś zjazdzie podupadłej KPZR?

Wszystko na to wskazuje. Enigmatyczne sformułowania zjazdowego aparatu i uchwały - o "zwiększeniu samodzielności przedsiębiorstw", "bodźcach materialnych", "pogodzeniu centralnego planowania z oddolną inicjatywą" - są frazazami od dawna i z miernym skutkiem nadużywanymi, jak blok radziecki długi i szeroki; po raz pierwszy tylko padły z tak wysokiej trąbuny i w takim natężeniu. Nawet podjęte już po zjeździe praktyczne działania na rzecz samodzielności kołchozów i sowchozów, umożliwienie im wolnego obrotu nadwyżkami rolnymi, są zaledwie błędym echem śmiałości kierownictwa chińskiego. Nie usłyszeliśmy nic o możliwości nieformalnej choćby parcelacji kołchozów, o roli przesławnych "działek przyzgodowych", bez których już od dawna miastom radzieckim groziłoby wygłodzenie. Tutaj zjazdowa uchwała i pozjazdowa praktyka nie dorasta nawet do zapomnianej już /a szkoda/ uchwały ostatniego za życia Breżniewa planum KC KPZR, które w lutym 1982 roku stworzyło formalne, lecz nigdy nie wykorzystane warunki do zwiększenia tych "działek" nawet do 5 ha, a więc do stopniowej odbudowy warstwy indywidualnego chłopstwa w ZSRR.

Cóż więc mamy? Ruchliwego, dynamicznego przywódcę gromko pokrzykującego o nowoczesności i postępie, aktywnego wewnątrz i na zewnątrz, za nic mającego sztywną partyjną liturgię. Ruch personalny i gwałtowne odmłodzenie rządzących elit, ożywienie w prasie a nawet kulturze, reanimację chłopskiego snu o "dobrym carze". O wiele za mało na reformę, nawet za mało na nawiązanie do chruszczowskiej tradycji tamtego zjazdu sprzed 30 lat. Radzieckie przywództwo nie chce reformy, ono chce skutków reformy bez niej samej. A to czysty idealizm ze sfery pobóżnych życzeń, które realna polityka zawsze weryfikuje okrutnie i miążżąco, choć nierychliwie.

I co nam to wszystko przypomina? Trochę "ojczulka Kadar" z jego młodszych lat, choć tak łatwo zapominamy, że mądry Kadar widział reformę o wiele dalej zamierzoną, mówił wyraźnie w 1968 roku o jej "politycznej fazie", szukał porozumienia z Dubczkiem i Gomułką, a tylko radzieckie czołgi na praskich ulicach wytłumaczyły mu dowodnie jak daleko może się posunąć. Raczej naszego smutnej pamięci Edwarda Gierka z czasów jego intronizacji, gdy okrzyk "pomożemy" jeszcze rozlegał się od Bałtyku do Tatr, a nadzieja na Polskę wprawdzie komunistyczną, lecz zliberalizowaną, jako tako ułożoną gospodarczo i otwartą na Zachód wydawały się rozsądną możliwością, nie pozbawioną szans realizacji w tutejszej geopolityce. Jak to się skończyło i do czego doprowadziło - wiemy aż nadto dotkliwie. Gierek był także młodszy, dynamiczny, obyty na Zachodzie, inteligentny, łatwo nawiązujący kontakt z ludźmi, ażabo przywiązany do partyjnej liturgii, niedogmatyczny, liberalny. Tak samo wołał o nowoczesności, pogoni za najwyższą techniką, tak samo śniły mu się komputery i limuzyny, tak samo gadał o dobrobycie i "przejszczu do etapu intensywnego rozwoju". I tak samo jak do tychczas Gorbaczow, miał w pogardzie, albo przynajmniej poza zakresem zainteresowań sprawę głębokiej zmiany mechanizmów społeczno-gospodarczych tego systemu. Jego przykład pokazał aż nadto dowodnie, czym kończą się takie sny bez przedstawienia mechanizmów. To samo pokazały inne przykłady podobnych usiłowań, łącznie z nieudanymi Chruszczowa i zatrzymanymi w połowie drogi Kadar.

Radziecki Gierek na Kremlu? Czyżby historia była aż tak okrutna, a ludzie aż tak niepodatni na jej nauki i przestrogi? Oczywiście Gorba-

czow jest prawdopodobnie inteligentniejszy od Gierka i uważa, że wy-
ciągnął wnioski z niepowodzeń poprzedników. Jest też przywódcą mocar-
stwa, kiedy Gierek był tylko wasalnym księciem, którego upadek - jak
to bywa w taatrze marionetek - nigdy nie jest upadkiem całkiem serio.
Z mocarstwem inaczej, tu bezpośrednio obcuje się z Historią. Ale Gor-
baczow, tak jak i Gierek, jest tylko tworam aparatu partyjnego, jego
wychowańcem precedzonym przez sito wszystkich negatywnych aelekcji.
Cóż z tego, że z racji wieku nieatalinowskim, że nie tańczył - tak
jak Chrzcuzow - trepaka przad "wielkim językoznawca"? Nie przeszedł
tamtego zhańbienia i tamtego prania mózgów, ale spłodził go moloch
tej samej biurokracji. Dlatego nie jest i nie będzie Piotrem Wielkim,
któremu tylko wystarczyło urodzić się w odpowiednim czasie, w odpo-
wiedniej rodzinie; tamten, największy i chyba jedyny rosyjski refor-
mator nie musiał wspinać się - jak Gierek, Kadar, Chruańczow i Gorba-
czow - po szczebelkach komitetowych zależności i układów. To bardzo,
bardzo ważne; mało kto z nas rozumiał to w 1971 roku, bijąc brawo u-
branamu w dobrze skrojony garnitur, mówiącemu biegle po francusku, po-
klepującemu robotników po ramieniu "dobremu gospodarzowi z Katowic".

Oczywiście, upadek nie będzie tu tak szybki i spektakularny jak w
Warszawie. Rosja nie ocknie się na stosie długów. Stoczniowcy Lenin-
gradu nie wywieszają portretu Papieża na bramie i nie spiszą swoich 21
postulatów. Historia się nie powtarza. Ale powtarza się na naszych o-
czach ta sama pogarda dla praw ekonomii, dla zebranych już przez ten
system i zabójczych dla jego przyszłości doświadczeń. Powtarza się
historyczna ślepotą rozchwianych i podmytych przez bieg historii ekip
rządzących; ta sama, która kazała Ludwikowi XVI czy Mikołajowi II od-
rzucić kolejno wszystkie projekty światłych reform i okazać do nich.

Jeden z radzieckich dygnitarzy na pytanie dziennikarza o Gorbaczow-
wa jako Piotra Wielkiego, odparł przezornie: "zobaczymy za dwa, trzy
lata, Chrzcuzow potrzebował prawie 3 lat aby zwołać XX zjazd". Może
... Można ostatecznia - chroniąc piękne nadzieje i ostateńie złudze-
nia - twierdzić, że zjazdowa "książka życzeń" Gorbaczowa służyć mu
będzie za taran rozbiijający stopniowo opór zasiedziają biurokracji,
a jego dotychczasowe milczenie o mechanizmach pozwoli mu wypełnić tę
białą kartę komunistycznego programu własną i od siebie tylko zależną
traścią. Ale po pierwszym roku Gorbaczowa mniej jest tych nadziei niż
w chwili jego intronizacji.

To nie najlepsza prognoza także i dla Polski. Wizja Rosji zakrze-
płej w niereformowalności, konserwatywnej, przegrywającej w cywiliza-
cyjnym, a zwłaszcza technologicznym wyścigu, stopniowo także targanej
wstrząsami i konfliktami podobnymi do naszych lecz wielokroć bardziej
gwałtownymi, a jednak wciąż dość silnej policyjnie, by zdławić próby
usamodzielnienia się europejskich satelitów, może tylko wzmóc nasz e
cierpienia. Rosja reformująca się, przesuwająca się cywilizacyjnie -
jak za Piotra Wielkiego - na Zachód, tworzyłaby i dla nas szansę inne-
go niż dramatyczne, stopniowego rozwiązywania także i naszych proble-
mów. Ci z nas, którym wizja radzieckiego Gierka ożywia stare sny pol-
skie o upadku Rosji, niech pamiętają, że proces taki będzie długi jak
noc polarna, dotkliwy jak syberyjski mróz, nikogo nie oszczędzający
jak głód na Powoźu.

Szkoda, że nie mam nic bardziej krzepiącego do powiedzenia. Zada-
niem moim jest jednakże tworzenie politycznej diagnozy, a nie dobrze-
go samopoczucia.

STANISŁAW MAŁOPOLSKI

Nie wiadomo, gdzie to idzie

Rozmowa z członkiem dyrekcji Huty im. Lenina

- Dyrektorze - Pan jako człowiek z pierwszej linii - może mi odpowiedzieć na pytanie: czy po X Zjeździe już będziemy po reformie gospodarczej?

- Sądzę, że władza nie wycofa się z reformy. Nie mogą się wycofać z powodów propagandowych. Zawsze w tym systemie były jakieś słowa-klucze. Gomułka wymyślał jakieś bodźce, była też druga Polska... Teraz mydli się ludziom czy reformą, która ma uzdrowić gospodarkę. A wszystko idzie w tym kierunku, że nic się nie dzieje. Z reformy zostaną nam ceny, trochę obciążeń dla przedsiębiorstw, różne domiary, które gdzieś wsiąkły i do lepszego gospodarowania nie przyczyniły się. I tak to będzie funkcjonowało, ale propagandowo cały czas będziemy robili wielką reformę. Będzie następna modyfikacja, potem druga, trzecia, piąta... przesunięcie, restrukturalizacja, może manewr... Takie różne podchody..

- Czy Pan wie, dlaczego prosiłam Pana o rozmowę?

- ?

- Chodzi mi o pokazanie fragmentu polskiej rzeczywistości widzianej oczyma przedstawiciela kadry technokratycznej. Pan wystąpi jako "dyrekcja" kombinatu im. Lenina, gdzie osiągnął Pan menadżerskie sukcesy.

- Czy musimy mówić na mój temat?

- Tylko o tyle, o ile nie doprowadzi to do identyfikacji Pana... Co to w ogóle jest huta im. Lenina? Czy gdyby ją wysadzić w powietrze byłoby jakieś straty?

- Jakież straty byłyby. Huta produkuje ponad 30% stali w skali Polski.

- A. huta "Katowice"?

- Drugie 30%. Trzecie 30% wszystkie pozostałe huty. Nasza huta jest jedynym w kraju producentem blachy gorąco walcowanej, karosaryjnej, transformatorowej itp.

- Z której z nich robi się lodówki?

- Z zimno walcowanej... Prócz tego produkuje się w Hucie duże arkusze blachy falistej, blachy ocynkowanej. Obecnie też jesteśmy jedynym producentem blachy ocynkowanej, ponieważ u nas są takie linie produkcyjne. Druge walcownia gorąca miała być w hucie "Katowice". To osławiona historia; walcownię sprowadzono, leżała kilka lat i została sprzedana z powrotem do Magnitogorska. Nota bene zbudowanego w latach 30-tych od fundamentów po dach według projektów i na sprzęcie amerykańskim.

- Dlaczego walcownię sprzedano z powrotem?

- Mówi się, że związane to jest z zamrożeniem inwestycji. Po prostu nie stać nas na nią. I żadnego znaczenia nie ma to, że walcownia blach karoseryjnych w naszej hucie budowana była z myślą o walcowni w Katowicach. Wszystkie urządzenia przystosowano pod kątem przyjmowania pro-

dukcji z Katowic. Gdyby była walcownia w Katowicach, to tę w Nowej Hucie można by zlikwidować albo przestawić na produkcję gatunków specjalnych. Moglibyśmy wreszcie zamiast wyduszonych 2 mln ton robić spokojnie milion ton specjalnej stali - czyli ilość przewidzianą pierwotnie. A tak robimy masówkę, a to prając miała nowa walcownia w Katowicach.

Czy huta jest potrzebna? Oczywiście tak, ale czy o takim profilu produkcji - to inna sprawa. Odpowiedź wymagałaby wcześniejszych badań na temat rzeczywistego zapotrzebowania na stal w kraju. Na dzień dzisiejszy produkujemy powyżej 500 kg stali na głowę mieszkańca. Jesteśmy na drugim czy trzecim miejscu w świecie.

- Po co nam tyle stali na głowę? A co dziwniejsze, jakoś tego nie odczuwamy, przecież nawet gwoździ brakuje.

- Proszę pani, nie dość tego. My musimy specjalną stal sprowadzać z Zachodu, np. stal dla przemysłu chemicznego. To są dziesiątki tysięcy ton, a powinniśmy sprowadzać ponad 100 tys. ton. Za to płacimy w zielonych. Ale struktura naszego hutnictwa nastawiona jest wyłącznie na blachę podstawową, na tonaż... Istniejące walcownie nie mogą zrobić cieńszej blachy.

- Czy dlatego puszki do konserw robione są z blachy czołgowej?

- Do tej, która byłaby właściwa np. na te puszki potrzebna jest cyna. Tona cyny kosztuje ponad 10 tys. dolarów. W skali kraju trzeba sto kilkadziesiąt ton cyny, żeby w ogóle coś produkować na potrzeby kraju. Nie mówiąc o eksporcie, który jest konieczny, żeby chociaż na tę cynę zarobić. W świecie coraz bardziej eliminuje się cynę i idzie się w kierunku laminowania. Cynę w produkcji puszek zastępuje się tworzywami kosztującymi grosze, a dopuszczonymi przez służbę zdrowia.

Pytała pani, co to jest huta i czy jest potrzebna? Nie dziwi mnie to pytanie, bo skoro huta produkuje setki tysięcy ton żelaza zbrojeniowego, różnego rodzaju kątowników, produkuje rury o rozmaitych przekrojach, wprowadzie spawane i do wszystkiego się nie nadają oraz produkuje blachę zimno i gorąco walcowaną... a kupić tego nie można. Trzeba znajomości, zapówek, żeby sobie coś tam w GS-ie załatwić.

- Gdzie się to wszystko podziewa? Czy wszystko idzie na eksport?

- Nie wiadomo, gdzie to idzie. Procent eksportu jest tak minimalny, że praktycznie nie istnieje, przynajmniej w takich ilościach, żeby to miało jakieś znaczenie. Powiedzmy, że produkuje się pięć milionów ton, to na eksport z tego idzie 100-150 tys. ton...

- Co się więc z tym dzieje? Kadra dyrektorska Huty tego nie wie?

- Nie wiem, co się z tym dzieje. Wiem natomiast, że tym żelazem można całą Polskę zabatonować, jeżeli dodać do niego cementu. W ciągu kilku lat cała Polska zniknęłaby pod zbrojonym betonem.

- Brzmi to paradoksalnie, że Pan nie wie, gdzie idzie ta stal. Rozumiem, że nie wie tego robotnik, inżynier, ale dyrekcja?

- Żeby nie dać się zwariować. Jest totalne marnotrawstwo. Koszt wyrobę tony stali kształtuje się w granicach 40 tys. złotych, czyli cena jest żadna i być może prowokuje to do marnotrawstwa.

- A ile kosztuje tona rudy?

- Możemy mówić tylko o cenach światowych, czyli jakieś 17 dolarów za tonę. Sądzę, że Wielkiemu Bratu płacimy tyle samo. Z tym, że płaci się nie za rudę, tylko za żelazo w rudzie. Procent żelaza w rudzie, którą przywozimy z Krzywego Rogu spada. My musimy dostać odpowiednią ilość żelaza. To zaś znaczy, że trzeba większą ilość wagonów przytąszczyć tutaj, co kosztuje. Dalej: musimy tę rudę wzbogacić - to też kosztuje. Wielki piec przyjmuje wsad w granicach 51-52% żelaza. Jeżeli więc w dostarczanej rudzie jest coraz mniej żelaza, to tym bardziej

trzeba ją wzbogacić, przerobić, stracić energię. Takie to są konaekwencje.

- Czy nie da się zmodernizować pieców na użytek rudy z Krzywego Rogu?

- Piace są przystosowane do ubogiej rudy krzyworoskiej, ale parametry tej rudy w ciągu 20 lat spadły. I to jest ta różnica. Co to oznacza? Trzeba wyprodukować 3 mln ton surowki w wielkich piecach. W rudzie jest 20 procent żelaza, no to trzeba przywieźć pięć razy tyle, czyli 15 mln ton, prymitywnie licząc. 15 mln ton to jest 15 tysięcy pociągów, każdy po tysiąc ton. I teraz każdy procent żelaza mniej, to jest 150 wagonów dodatkowych. To są trzy pociągi.

- Ile wagonów trzeba na dobę?

- Policzmy: około 15 tys. pociągów rocznie... każdy tysiąc ton. Czyli dziennie Huta musi przyjąć ponad 40 pociągów samej rudy.

- Są to ilości, o których, przyznam, nie miałam pojęcia.

- Mówimy na razie o samej rudzie. Do tego trzeba jeszcze przywieźć węgiel, żeby zrobić koks. Wrzucając rudę do pieca równocześnie trzeba wrzucić mniej więcej tyle samo koksu i innych dodatków. Z kolei wyprodukowania kilku milionów ton koksu znaczy, że trzeba przywieźć dwa razy tyle węgla. Dla przykładu podam, że sama siłownia*) w Hucie zużywa milion ton węgla na rok, a to oznacza ponad trzy pociągi węgla dziennie. Jesienią obowiązywało zarządzanie ministrami komunikacji, iż wagony przywożące węgiel muszą wracać na Śląsk puste. Nie wolno ich było ładować. To powodowało, że Huta zatykała się własną produkcją. Można dobrym wskaźnikiem świadczącym o skali Huty będzie cyfra około 5 tys. wagonów /ponad 100 pociągów/ jakie są w obrotach w ciągu jednej doby.

- Czy zarządzenia ministra, o którym Pan wspominał nie jest sprzeczne z nawoływaniem, by nie było pustych przebiegów?

- Co to ma za znaczenie? Przychodziła zima i okazało się, że nie rozwieziono miliona ton węgla przez dwa kwartały normalnej pogody... To co pani opowiedziałem, miało mniej więcej oddać skalę Huty.

- Czy ma sens budowanie takich monstrualnych hut?

- Huty takiej wielkości istnieją w świecie. Rosjanie mogą sobie pozwolić na takie monstra, bo im nie zależy na ochronie środowiska, a poza tym blisko mają, a raczej mieli, pokłady surowców. Wtedy to się może opłacać. Natomiast między Nową Hutą a Krzywym Rogiem jest straszliwa odległość... Obecnie Polska ma partycypować w rozbudowie bazy surowcowej w Związku Radzieckim. Nasz udział obliczony jest na 300 mld złotych. My mamy wsadzić w ich bazy 300 mld złotych, żeby oni potem byli uprzejmi dostarczać nam rudę, oczywiście za pieniądze. W całym świecie stara się budować takie huty nad morzem, bo transport wodny jest najtańszy. Wtedy dowozi się rudę 250-tysięcznikami i zrzuca na hałdę przy hucie. Wystarczy kilka statków a nie tysiące pociągów. A przecież mówiłem tylko o procesie surowcowym. A teraz niech pani pomyśli, że jeszcze trzeba te 5 mln ton stali wywieźć. To jest dodatkowo 5 tys. pociągów po tysiąc ton, a nie wszystkie mają po tysiąc ton. Ruch jest straszliwy. Transport jest w tej chwili punktem newralgicznym w Hucie. Spowodowane to jest sytuacją transportową w kraju oraz i tym, że jest to ciężka praca i brakuje ludzi.

- Czy nie istnieje mechanizacja w pracy transportu?

- Mechanizacja? Eeee... oczywiście, są wyrotnice i na nich odbywa się wyładowywanie wagonów. Wyobraźmy sobie jednak, że przychodzi po-

*) Siłownia - słowo z lat 50-tych, po polsku elektrociepłownia.

ciąg złożony z kilkudziesięciu wagonów z Krzywego Rogu i wszystko jest zamrożone. Najpierw trzeba więc pociąg wsadzić do tunelu ogrzewanego gazem. Zdarza się, że trwa to i 36 godzin. Zdarza się też, że z wierzchu się roztopi, a w środku zostaje zamrożone. I taki kilkudziesięciotonowy kamyczak rudy spadając niszczy wszystko.

- Może to i słuszne, że niszczy, skoro Związek Radziecki musi utrzymać swoją miejsce pierwszej potęgi hutniczej świata, a nuż byśmy mu zagrozili... To niby żart. Ostatnio przeczytałam tekst Alain Besançon'a, gdzie dowodzi on, że owo pierwsze miejsce Związku Radzieckiego w świecie to jeden z tzw. fałszywych pewników. Faktem jest, że Związek Radziecki produkuje 145 mln ton stali rocznie i dlatego jest "pierwszą potęgą hutniczą świata". Ale i tutaj Besançon wylicza, że w Związku Radzieckim nie produkuje się więcej samochodów niż w Hiszpanii, że sieć kolejowa w ZSRR nie jest dłuższa niż w Indiach, a droga znacznie mniej gęsta niż we Francji. Zaś nawet najbardziej nieumiarkowana produkcja stali nie może pochłonąć więcej niż milion czy dwa miliony ton. Cóż więc może oznaczać liczba 145 mln ton, czyli tyle ile wynosi łączna produkcja Japonii i Niemiec? Otóż w tych 145 milionach ton mieści się: 1/ produkcja stali prawdziwej; 2/ produkcja stali gorszej jakości; 3/ produkcja stali wybrakowanej; 4/ produkcja stalowego szmelcu; 5/ produkcja pseudostali; 6/ pseudoprodukcja stali. Stany Zjednoczone i Kanada, które zajmują kolejne po ZSRR miejsca na liście "potęg hutniczych" nie produkują pięciu ostatnich kategorii stali, które w takiej obfitości wytopia się w gigantycznych stalowniach ZSRR. A jak jest u nas?

- Produkuje około 16 mln ton stali /w 1980 roku produkcja przekroczyła 19 mln ton/. To daje nam jeden z najwyższych wskaźników ilości produkowanej stali na głowę mieszkańca. Sytuacja jest niemal identyczna jak ta, którą przytoczyła pani za Alain Besançonem w ocenie produkcji ZSRR. Różnica między ZSRR i nami polega na tym, że jeszcze większy nacisk kładziemy na ilość przy pominięciu jakości, czy egzekwowaniu otrzymywania parametrów. Wspominałem już o marnotrawstwie, jako jednym z głównych porachaczy stali. To nie jest gołosłowne, bo coś znaczy 900 tys. ton wiór rocznie, brak właściwych zabezpieczeń antykorozyjnych, niska cena stali powodująca rozrzutność itd. Niska jakość stali powoduje, że np. w budownictwie ilość stali ładowane w 1 m³ betonu kilkakrotnie przekracza normy światowe. Konstruktorzy zabezpieczają się w ten sposób przed odpowiedzialnością za budowę, mosty itp. - właściwie zaprojektowane, ale wykonane z byle czego i mogłyby runąć. Wiadomo przecież, że cement mogą wykonawcy ukrasć, a stal przewidzianego gatunku może ten gatunek mieć tylko na metce. Nasze normy budowlane z góry przewidują tę sytuację i ładuje się stal w ziemię w nadmiarze i marnują się ją.

Przyjmują się, że korozja zżera ok. 10% produkcji stali rocznie. Znając stan naszej ochrony antykorozyjnej, dodatkowo kiepskiej jakości stali /vide karosarie polskich samochodów/ procent ten jest na pewno wyższy. A to już daje do 200 tys. ton rocznych strat stali. Poza tym, ile produkujemy stalowych bublei, rzeczy niepotrzebnych? A ile musimy oddać na produkcję czołgów, silosów rakietowych itp.?

- Czy w Polsce w ogólna potrafi się wyprodukować dobrą stal?

- Tak. Nasza blacha transformatorowa czy prądnicowa jest dobra. Ocynowana względnie ocynowana też jest niezła. Ilościowo jest tego mało, powiedzmy. Niezła też jest to, co z podstawowej produkcji wysyłamy do drugiego obszaru płatniczego.

- Czyli do kapitalistów?

- Tak, z tym, że lepsze parametry jakościowe uzyskuje się dodatkową pracą. Trzeba pilnować technologii produkcji i musi się to jeszcze do-

brze zapakować. Jest to w sumie kilka procent produkcji, ale da się zrobić. Wymaga wysiłku, który się musi opłacać. Na kraj idzie reszta. Zapotrzebowanie zaś jest takie, że pójdzie wszystko z pocałowaniem ręki. Po co się więc wysilać? A teraz tak, powiedzmy, dla podaumowania tego fragmentu rozmowy. Gdybyśmy produkowali tyle stali na głowę, ile w państwach zachodnich, czyli około 300 kg, co w naszym kraju daje około 10 mln ton stali - o ile zyskałoby nasze środowisko? Ileż mniej byłoby ton siarki i pyłów w atmosferze. Ile zostawałoby węgle? Są to oczywiście pytania retoryczne, bo w obecnych warunkach nie da się tego zrealizować.

- Dlaczego?

- Pieniądze... pieniądze... Trzeba by dokonać zdecydowanej, rzeczywistej zmiany struktury hutnictwa. A do tego potrzeba olbrzymich pieniędzy, ale i woli także. Nie ma ani jednego, ani drugiego.

- Ile osób pracuje w Hucie?

- W 1981 było zatrudnionych ponad 38 tys. pracowników. Potem zaczął się exodus. Na wcześniejsze emerytury odeszło kilka tysięcy osób.

- Czy nie sądzi pan, że był to "znakomity" pomysł krzaczastego ministra, by najlepiej wyszkolonych i produkcyjnych ludzi odsłaść na emeryturę?

- Sam pomysł oceniać negatywnie. Natomiast nie można oceniać go negatywnie z tego powodu, że ludzie poszli na wcześniejsze emerytury z tak okropnych warunków pracy. Nie sądzę jednak, by przy podejmowaniu tej decyzji kierowano się altruizmem, a tylko atrachem przed bezrobociem. Odeszli więc ludzie, którzy kwalifikacje zdobywali w latach 50-tych, bardzo przywiązani, często wbrew logice, do swojej pracy. Znałem ich wielu - to byli tacy, którzy nie usiedzieli, cały czas hakowali. Na ich miejsce przyszli bardzo różni, ale generalnie reprezentujący dużo niższy poziom wykształcenia zawodowego i inny stosunek do pracy.

- Co znaczy "inny stosunek do pracy"?

- Starzy pracownicy, którzy odeszli, szanowali swoją pracę, swoje miejsca pracy. Byli do niego przywiązani i dbali do tego stopnia, że w chwilach wolnych brali szmatę i wycierali kurze, czyścili... A teraz ich następcy? Sądzi pan, że któryś wzięłby ścierkę do ręki, żeby wytrzeć kurz? Nie - pyta: a od czego aprzątać? Oni nie szanują miejsca pracy, bo o pracę jest łatwiej. Każdy może dostać pracę w Hucie. Pamiętam lata 60-te, kiedy otrzymanie pracy w Hucie wcale nie było proste i dlatego pracę szanowano. Otrzymanie pracy znaczyło wtedy mieszkanie i najlepsza stawki w całej okolicy, stąd groźba wywalenia z Huty była poważną restrykcją. Dzisiaj nikt się tym nie przejmuje. Fluktuacja jest ogromna. W ciągu roku wymiana się ponad 4 tys. ludzi. I w ten sposób doziliśmy do tego, że dzisiaj w Hucie pracuje około 31 tys. ludzi. To jeszcze zależy jak się liczy, bo tych zasadniczych pracowników jest około 30 tysięcy. W tej chwili nie ma żołnierzy, bo ich wycofano. Latem pracowali na tych najgorszych stanowiskach, czyli na wydziałach surowcowych i również w najgorszych miejscach na walcowniach.

- Wspomniał Pan o ochronie środowiska. Jak te problemy wyglądają w Hucie?

- Wszystko kończy się na programach, bo do tego potrzebne są duże pieniądze. To po pierwsze, a po drugie musi to mieć kto robić. Same pieniądze też nie wystarczą. Najwyższym osiągnięciem obecnej chwili jest budowa oczyszczalni ścieków, która ma oczyścić część ścieków z Huty. Należałoby oczyścić dziesiątki hektarów zalanych szlamem z Huty. Wiadomo, że od kilkunastu lat zbiorniki szlamu są przepełnione i od

kilkunastu lat toczy się walka, by uzyskać zezwolenie na ich podwyższenie. Zresztą to i tak niewiele pomoże, bo taki wysychający szlam jest bardzo dobrze roznoszony przez wiatr.

- Jak powinno się rozwiązać sprawę azlamu?

- Powinna być normalna utylizacja - to powinno wracać do obiegu, bo w szlamie jest dużo żelaza... Podobnie jest z milionami ton opadów. Rocznie Huta wyrzuca kilka milionów ton opadów... Wazystko to zatrucha środowisko. Nie wiem, czy widziała pani zwaliki żużlu za cementownią.

- Nie...

- Mniejsza z tym. Jakies półtora kilometra od zwaliki są studnie. Po kilku latach zwałowania okazało się, że woda w studniach jest zatruta. Studnie do dnia dzisiejszego pracują po to, żeby nie puszczają trucizny dalej. Za nimi dopiero wykopane są następne, z których bierze się wodę. Teraz proszę sobie wyobrazić setki hektarów zwaliki wysokiej na trzy piętra i wyżej - jakież świństwo wpuszcza się do ziemi i jakie pyły z tego roznosi wiatr. A do tego dochodzą piece etc. etc. Siarka i fluor. Informacji na temat fluoru, który jest dużo gorszy od siarki, ukręcono łeb.

- Skąd się bierze fluor?

- Dorzuca się go po prostu do stali w postaci fluorydów... Ponadto w atmosferę wyparowują zanieczyszczenia z wody wiślanej, bo nią gasi się np. rozżarzony koks. Wokół Huty jest kompletna pustynia. Odległość między Hutą a osiedlami powinna wynosić przynajmniej 15 kilometrów i te 15 kilometrów to powinien być pas lasu... Nic się nie zmieni bez dużych pieniędzy. Bez całościowego rozpracowania problemu nie ma sensu mówić o ochronie środowiska przy takich aglomeracjach czy koksowniach i zwalokach odpadów.

- Jak się zostaje kadrą dyrektorską kombinatu - z nomanklatury, czy z zasług osobistych?

- Z dobrych układów. Powyżej pewnego szczebla nie awansuje się w drodze osobistych zasług. Nie da się, jeżeli się ma np. krechę w organizacji partyjnej, albo nie ma się po prostu gdzieś wyżej kumpla.

- Pan jest w dyrekcji?

- Tak.

- Znaczy to, że miał Pan chody wyżej.

- Na całym świecie jest tak, powiedzmy, że gdzieś człowiek zaczyna pracować. I gdzieś ma chody czy kumpla... albo nie ma. Przejścia z wydziałów na kierownicze stanowiska odbywają się zawsze... W Hucie jest siedmiu głównych dyrektorów: od produkcji, od spraw technicznych. I, powiedzmy, jest jeden naczelny.

- Czy dyrektorzy muszą być partyjni?

- Oczywiście.

- Czy w okresie "Solidarności" ta żelazna zasada zachwiała się?

- Nie. Właściwie powyżej szczebla kierownika wydziału nie ma bezpartyjnych. Przecież taki branżowy dyrektor Huty, powiedzmy, odpowiada dyrektorowi dużego przedsiębiorstwa w kraju.

- Pan jest partyjny?

- Czy nie zadaje pani zbyt intymnych, powiedzmy, pytań? Chyba sama sobie pani potrafi odpowiedzieć.

- Czy należał Pan do "Solidarności"?

- O ile pamiętam należało 94% pracowników Huty.
- A do nowych związków należy Pan?
- W Hucie wstąpiło do nowych związków jakieś 30 procent pracowników. Z tym, że obecnie są duże naciski na to, żeby wstępować - łącznie z groźbą wyrzucenia z pracy. *)
- Przy braku pracowników, o którym Pan mówił, jeszcze jesteście w stanie grozić wyrzuceniem z pracy?
- Toteż nie grozimy robotnikom. Robotników kupujemy, a grozimy administracji.
- Czy te groźby powodują uległe wpisywanie się?
- Oczywiście. Ludzie przyzwyczaili się i nie chce im się zmieniać pracy. Chcą mieć święty spokój. Płaczą więc, ale wpisują się.
- Czy działalność nowych związków jest widoczna na terenie kombinatu?
- Generalnie działalności typowo związkowej nie ma. Coś tam działają, rozdają. Przede wszystkim jednak chodzi tym niby związkowcom o to, żeby się nałapać. To jest główny cel ich działania. Takim dobitnym przykładem na potwierdzenie tego co mówię jest "związkowiec" Książkiewicz. Pijak i awanturnik - to delikatne określenie - po prostu ostatnia azumowina. W Hucie nie miał już co robić. Wzięli go do Warszawy, żeby ludzi nie drażnił. I okazuje się, że on z ramienia nowych związków jest szefem do współpracy z związkami zagranicznymi. Tacy ludzie w nowych związkach w Hucie do tej pory wiodą prym. Oni je trzymają i nimi kierują. Jest to normalne mafijne ugrupowanie... Ale też czym oni się zajmują - dzielą Encyklopedie.
- Encyklopedie?
- Oczywiście. Oni rozdają talony na Encyklopedie, programatory do pralek itd. Bez tego ludzie mogą się obejść, ale przecież oni też wypowiadają się na temat podwyżek, stawek, płac, wypoczynku, czy zwrotu kosztów za wypoczynek. To niby wypłacane jest z funduszu socjalnego, ale na nim położyli łapę nowi związkowcy.
- Czy mają realny wpływ na sprawę pracownicze?
- Owszem, mają. Do tego dołącza się jeszcze partia i to towarzystwo nieźle się bawi.
- Jaki jest stopień upartyjnienia Huty?
- Do partii należy około 2 tysiące osób, a należało 6 tysięcy.
- Czy to jeat spadek po 13 grudnia?
- Nie tylko. Zasadniczy odpyływ nastąpił w latach 1980/81. Po 13 grudnia odeszli /rzucili legitymacje/ ci ideowi. Ci, którzy do końca wierzyli, że zmiany w partii są możliwe... 13 grudnia przekreślił te ich złudzenia. W czasie strajku, ale również i po, na niektórych wydziałach przepełniły się kozae wyrzucenymi legitymacjami partyjnymi. Część została z partii wydalona; dotyczy to także dozoru.
- A jak wygląda sprawa samorządu pracowniczego w Hucie? Od początku wojny "Solidarność" Nowej Huty stała na atanowisku całkowitego bojkotu.
- TKRH zdecydowała, żeby samorząd bojkotować i tak się też stało. I ten stan trwa. Stąd też wybory, które były w październiku '85 były, jakie były. Partia wytawiała awoich ludzi.

*) Od stycznia 86 jak ręką odjął - od red.

- Bojkot samorządu na początku stanu wojennego był odruchem moralnym.

- Rozumiem, że był to odruch moralny, ale trochę czasu już upłynęło. Mnie się wydaje, że bojkotując samorząd nadal wiele przegrywają. Rozumowanie podziemnych struktur jest takie: albo "Solidarność" przejmie samorząd, albo w ogóle. To nie jest słuszne. Do organów samorządowych należy wybrać normalnych ludzi a nie zezwalać na to, żeby partia typowała. Rozumiemy się? Ci wystawieni przez partię są po to, żeby nic nie robili a tylko machali rękami w geście przyzwolenia na wszystko, co partia chce przeprowadzić. Z kolei przejęcie samorządu przez "Solidarność" co też się w kraju zdarzyło, kończyło się awanturą. Ludzie "Solidarności" którzy przejęli samorządy, czuli się moralnie zobowiązani do tego, by ciągle podejmować jakieś uchwały przeciwko temu, czy przeciwko tamtemu. Uchwały strictly polityczne. Rozumiem, że można wyrazić dezaprobatę na forum samorządu przeciwko zamordowaniu księdza Popiełuszki, ale czy od razu potrzebna jest uchwała, którą zaczyna się rozsyłać? Wcale nie jestem przekonany, że to jest konieczne. Moim zdaniem samorząd ma olbrzymie pole do działalności gospodarczej. Działalności w ramach zakładu pracy, polegającej na tępieniu sobiepaństwa czerwonych, polegającej na blokowaniu poczynań durnych i włernych kretynów, którzy tworzą klikę. Bojkotując samorząd odpuszczają tym cwaniakom wszystko i działają na awogłą szkodę. Samorząd składający się z normalnych kompetentnych i uczciwych ludzi byłby jakąś przeciwwagą dla klikowych układów między czerwonymi.

- Nie sądzi Pan, że owe klikki mają sposoby na przyblokowanie takich zamiarów w ogóle?

- Toteż nie proponuję, powiedzmy, żeby się brali za sprawy ideologiczne, czy polityczne. Ich pole działania jest na tym szczeblu Huty, gdzie mówi się o produkcji a nie tam, gdzie decyduje się o planach. I sądzę, że na procesy produkcji samorząd może mieć duży wpływ. Może też mieć wpływ na podział tych rzeczy, które się załódze należą z samego faktu przynależności do zakłogi. W tej chwili to wszystko zostało przechwycone przez wroniarzy i czerwonych, ale też do samorządu weszli ludzie wskazani przez partię... Głosząc konsekwentny bojkot samorządu doprowadzono właśnie do tego. Żeby jednak do samorządu mogli wejść normalni ludzie, trzeba by było nad tym trochę popracować, czegoś się nauczyć.

- Założmy, że zgadzam się z Panem. Jaki Pan widzi sposób przekonania władz "Solidarności" w Nowej Hucie, by zastanowiły się nad tym, czy zaprzestać bojkotu samorządu pracowniczego?

- Jeżeli w "Hutniku" napisano, że bojkot, tzn., że nie wolno. To nawet jest wygodne, ale przerażające, bo oddają ważne pole czerwonym ignorantom. Co to za walka, kiedy całkowitym walkowerem oddaje się pole i to przeciwnikowi, który jest durny, powiedzmy. Tego nie wolno robić...

- Wolno, wolno... Wtedy moralnie nieskalani zakładają partię np. "Niepodległość" i już nic nie muszą robić. Jakże bowiem ktoś walczący o niepodległość może się zniżyć do walki o mieszkanie dla Zenka, czy cebulę dla Franka. Widzi Pan wyjście?

- Nie widzę, ale nie od tego jestem. Wszak stoję, powiedzmy, po drugiej stronie. Choć wydaje mi się, że podział na takie jednoznaczne strony nie istnieje. Chętniej dzieliłbym na głupich durniów i kompetentnych w miarę uczciwych. Na mój gust czas już chyba, żeby komisje zakładowe "S" pomyślały, czy przejmować samorządy, czy bojkotować. Niałch wejda do samorządów ludzie, którzy chcą coś robić. Może wreszcie będzie administracja miała jakiegoś partnera. Jeżeli władze stołeczno-partyjne będą chciały rozłożyć samorządy, to postarają się i zrobią

to. Ale póki co pracownicy, członkowie podziemnej "S" sami je rozkładają. Istnieje, powiedzmy, możliwość doprowadzenia do normalnych wyborów, przygotowanie kampanii wyborczej. Przecież to "Solidarność" budziła w ludziach poczucie własności. Uczyła, że zakłady pracy nie są państwowe czy partyjne, że zostały zbudowane i są utrzymywane przez ludzi pracy, są ich własnością. Oddawanie pola jest sprzeczne z tą nauką.

Interesy partii i administracji, szczególnie tej najwyższego szczebla, są często rozbieżne z interesami załogi. Partia ma awój interes - władzę; administracja interesy grupowe, związane ze stanowiskami, apañazami i innymi korzyściami płynącymi z własnych układów. Układ partia - administracja jest zmienny. Aktualnie ludzie stojący na czele partii w Hucie nie reprezentują nic. Są bez koncepcji i bez kompetencji. Mają opinię durniów. Koniecznym wydaje się więc, powiedzmy, czynnik trzeci, wyłoniony przez załogę, mogący mieć wpływ na losy Huty, mogący nawet przez umiejętne działanie przeciągnąć jednych lub drugich na swoją stronę i wygrywać ich dla dobra załogi.

- Ale nawet najlepszy samorząd i tak nie uzdrowi gospodarki?

- A czy w ogóle jest możliwe uzdrowienie tej gospodarki? Nie o tym mówię. Samorząd to taka meła ścieżka, a nie autostrada prowadząca do zdrowej ekonomicznie gospodarce. Samorząd to samoedukacja, pilnowanie interesów załogi, dawanie przeciwwagi kretynizmowi. Samorząd może wpłynąć na zorganizowanie roboty, a wtedy ludziom w Hucie będzie jakiś procent lepiej, wygodniej, zdrowiej. Potrzebna jest ta aktywność choćby i z tego powodu, że czerwoni boją się każdego rodzaju aktywności. Zaś do terroru czasów stalinowskich ze względów propagandowych nie bardzo mogą wrócić. Uważam, że bojkotując samorząd przegrywają aktywność ludzi. Ludzie robią te pieniądze, siedzą na swoich atólkach, czytają bibułę, klną... I co z tego? Przychodzą do pracy i hakują w kółko. Czym ich uaktywnić? Jednak udział w takich organach samorządowych dostarcza kupę informacji o aktualnych mechanizmach. Mówiliśmy na początku o wielkości Huty. Dają głowę, że pracownicy Huty nie mają o tym żadnego pojęcia. Rzeczywiście zaangażowanie w prace samorządu uczy funkcjonowania przedsiębiorstwa.

- A po co się tego uczyć?

- Zgoda - to jest dziadostwo. Zgoda, ale w tej truciźnie żyjemy i nie widzę w najbliższej przyszłości dywizji, które nam zmieniają sytuację.

- Jakie są nastroje wśród robotników?

- Odpowiem enigmatycznie: kiepskie. Poważeczna jest opinia, że to "pieprznie" jutro, pojutrze... Powiedzmy, że "pieprznie" jutro i co będzie pojutrze? Na dzisiaj bohaterstwem jest czytanie bibuły... czy malowanie symboli na ścianach. Niech malują, ale to nie wystarczy.

- Co Pan proponuje, żeby ten stan zmienić? Jak nakłaniać ludzi do aktywności na szczeblu samorządu, samopomocy...?

- Wydaje mi się, że trzeba na ten temat jak najwięcej pisać. Pokazywać ludziom myślącym, a jest ich sporo, sens i możliwości takiego działania. Podziemne struktury "Solidarności" w Hucie mają inną koncepcję polityczną. Zdają sobie sprawę z tego, że nie są w stanie dostarczyć ze swojego politycznego grona odpowiedniej ilości ludzi, którzy opanowaliby cały samorząd. A tylko taką możliwość przewidują. Natomiast wyrażenie zgody na to, żeby załogi wybrały normalnych ludzi, żeby się rozpatrzyły między sobą: kto by się nadawał, kto ma trochę oleju w głowie i jest uczciwy swój człowiek, zna się na robocie... I wybrać go w normalnych demokratycznych warunkach... Nie, to im nie

odpowiada. A przecież twierdzą, albo twierdzili, że w interesie społeczeństwa jest popieranie wszelkich niezależnych inicjatyw.

- Kadencja samorządu trwa dwa lata. Jest więc niby trochę czasu, żeby się przygotować do nowych wyborów.

- Sądzę, że przy lepszym przemyśleniu sprawy byłoby dużo do wygrania.

- Czy nie przemawia przez Pana rozgoryczenie, że w Hucie niema Pan partnerów do powalczenia?

- Co to ma do rzezozy? Mój stosunek do samorządu i ocenę czym może być, przedstawiłem. Nie zamierzam przekonywać struktur "S", żeby podpisywały się pod moim myśleniem. Więcej - widzę po prostu, że samorząd stwarza pewne możliwości i żal, że nie chcą ich wykorzystywać. Wielu ludzi myśli podobnie jak ja, nawet bardziej radykalnie... kiedy przyjdą do mnie na herbatkę. Natomiast nie wiem, jakby się zachowali na zebraniu. Niemniej zaprzepaszczenie takiej możliwości z powodów ambicjonalnych uważam za bezsens.

Economic - fiction

Mimo wytyczenia kierunków polityki gospodarczej i przyjęcia podstawowych założeń planu gospodarczego na najbliższe pięć lat, nadal istnieje zapotrzebowanie ośrodków decyzyjnych na koncepcje i porady ekonomiczne. Zapotrzebowanie to zostało nawet złożone redakcji "Tygodnika Powszechnego" przez członka władz, z tym tylko zastrzeżeniem, aby nie sugerować daleko idących zmian w stosunkach własnościowych. Próbujemy więc odpowiedzieć na zamówienie.

Sugestie nasze idą po linii wskazań b. posła Edmunda Osmańczyka, który sugerował, by uzdrowienie gospodarki oprzeć na uzdrowieniu waluty. Proponujemy zmodyfikowanie jego sugestii i pójście dalej: nie uzdrawić chorej waluty, ale zastąpić ją zdrową.

System walutowy mamy w istocie podwójny i gdyby szukać analogii w historii gospodarczej najbliższy byłby bimonetaryzm równoległy, przy którym wartość obu kruszców nie pozostaje ze sobą w stałej relacji. Nie działa przy tym prawo Kopernika-Greshama i gorszy pieniądz jest wypierany przez lepszy: złoty jest coraz częściej zastępowany przez zielony, tak w stosunkach gospodarki państwowej z ludnością, jak i w prywatnych rozliczeniach. Miał więc bezskutecznie apelować o odwrócenie tego procesu, proponujemy jego konsekwentne rozwiniecie: wycofanie całkowicie z obiegu złotych i zastąpienie ich dolarami!

Po kursia praktycznie czarnorynkowym, czyli dolar za 600 złotych, z pełną świadomością, że jest to kurs nieekwiwalentny. Nie wiemy ile wart jest dolar naprawdę, choć na pewno nie 600 złotych. Lecz właśnie to przeliczenie powinno nam zapewnić oczekiwane rezultaty.

Wstępna trudność to brak odpowiedniej gotówki, lecz nie jest to równoznaczne z "brakiem armat". Globalna produkcja, dochód narodowy idą już w biliony złotych, lecz jest to przeważnie pieniądz zapisany na kontach. Tzw. żywej gotówki - fizycznego pieniądza jest w obrocie o wiele mniej. W zeszłym roku starczało 838,5 miliarda zł. w postaci banknotów i bilonu. Roczny przyrost, od roku 1976 poczynając, wynosi kolejno /w procentach/: 16; 11; 15; 14; 24; 38; 50; 19; 15. A więc po skoku w szczytowym okresie kryzysu wzrost wydaje się wracać do kilkunastoprocentowej normy. Posługując się nią w dalszym ciągu oraz kursem, dolar za 600, można - licząc z zapasem - uznać, że w tym roku o-

brót złotówkowy dałoby się zastąpić przy pomocy 1,7 mld. dolarów w postaci gotówki - caah. Kwotę tę trzeba by oczywiście pożyczyc, lecz nie zwiększyloby to naszego zadłużenia w sposób drastyczny, zaś przedstawienie tego projektu pozwoliłoby zapewne na uzyskanie odpowiedniego kredytu, niezależnie od dotychczasowych długów.

Przyjawszy, że krok taki zostałby dokonany i od któregoś pierwszego obracamy dolarami, możemy prześledzić najbardziej prawdopodobny rozwój wydarzeń, tak w obrocie zagranicznym jak w kraju, zwracając uwagę na konieczność poczynienia pewnych dalszych kroków uzupełniających tę reformę, nie tak już drastycznych jak ona.

Obrót zagraniczny:

Operujemy walutą wymiennalną, odpada konieczność i możliwość stosowania jakichkolwiek przeliczników oraz troska o ich wiarygodność i skuteczność. Wszystkie konta we wszystkich bankach są dolarowe, nikt nie musi dokumentować źródła posiadania pieniędzy, każdy może nimi dysponować kiedy chce, na co chce i gdzie chce, tak w kraju jak i za granicą.

Wymagałoby to wprowadzenia przepisu, który by jednostkom gospodarki uspołecznionej dawał w tym zakresie te same prawa, które mają osoby fizyczne przy założeniu, że JGU będzie się kierować tym samym zdrowym rozsądkiem co zwykły człowiek, starając się kupować tanio i sprzedawać drogo nie zaś na odwrót.

Obrót krajowy:

Natychmiast i zdecydowanie ustaje inflacja. Dolarów w Polsce drukować nie można i Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych w Warszawie zawiesza swą podstawową produkcję. Dopływ pieniądza może następować tylko z zagranicy za produkty i usługi oraz w postaci ukierunkowanych kredytów.

Ceny, płace, wkłady i zobowiązania pozostają na razie bez zmian, w tych samych relacjach, tyle że wyrażonych w dolarach. Średnie wynagrodzenie w gospodarce uspołecznionej wynosi ok. 53 dol., średnia renta i emerytura - 13-15 dol. Egzemplarz "Trybuny Ludu" kosztuje centa, kilo cukru - 15 centów, pół litra - ca. 1 dolar, mały fiat ok. 1100 dol.

Tu warunek: to co nie jest produktem absolutnie pierwszej potrzeby sprzedaje się po cenie rynkowej. Jeśli pracodawca uzna, że komuś jest niezbędnie potrzebny np. samochód, na który go nie stać, udziela mu maksymalnie wygodnej pożyczki, lub choćby zapomogi. Obowiązuje zasada jednolitych cen na wszystko i dla wszystkich, a krajowiec dewizowy staje się cudzoziemcem dewizowym bo tak samo i tyła samo płaci za wszystko dolarami.

Kończy się więc ekonomiczne upośledzenie krajowców, niknie czarny rynek i wszelka przestępczość walutowa, niepotrzebny się staje Fewex i kończą się wywoływane przezeń napięcia. Nadal jednak opłaca się pracować za granicą - skoro w tej samej walucie widać wyraźnie, że w USA fachowiec może otrzymać w godzinę tyle dolarów ile u nas w tydzień, nadal opłaca się mieć za granicą hojną rodzinę i nadal opłaca się dolary wydawać - przeważnie - w Polsce, gdzie mają siłę nabywczą kilkakrotnie /?/ wyższą niż za granicą.

Państwo pobiera od jednostek gospodarczych oraz obywateli podatki i inne opłaty w dolarach. Wpływy te przestają być głównie środkiem antyinflacyjnym, zmierzającym do tego, aby jak najmniej pieniędzy, które trudno jest pokryć, pozostawało w obrocie. Państwo otrzymuje teraz autentyczne pieniądze - siłę nabywczą, którą może użyć w najbardziej racjonalny sposób.

Obrót zagraniczny:

Polska jest dla zagranicy krajem niezwykle tanim. Niskie bardzo ceny rekompensują marną jakość produktów i usług. Nie myślimy chwilowo o cenach światowych, a sprzedajemy jak leci, aby wzbudzić żywe zainteresowanie naszym eksportem i otrzymać szybki przyływ walut. Przyjazdy do Polski stają się atrakcyjne i mieszczą się w granicach fizycz-

nej wydolności bazy, poszerzonej o - dozwolone - usługi prywatne.

Eksport nasz powoduje zapewne w USA wszczęcie postępowania antydumpingowego przez konkurentów, lecz jest to czynność długotrwała, a tymczasem importery są zainteresowani w tanich zakupach i kontynuują je.

W imporcie, polskie jednostki gospodarcze, postępując tak jak prywatni posiadacze kont, kupują jak najmniej i jak najtaniej, praktycznie tylko to co potrzebne jest do utrzymania, wzrostu i ulepszenia swojej produkcji i usług, czyli do zwiększenia swych wpływów - w dolarach. W miarę możliwości starają się nabywać towar krajowy. Stanowi to swoisty protekcjonizm dla słabej polskiej wytwórczości, bez sięgania po środki polityki celnej, która może być maksymalnie liberalna i przynieść z tego tytułu korzyści instytucjonalne w handlu międzynarodowym.

Polska przez swą taniłość staje się pożądanym miejscem również dla zagranicznych inwestorów. Opłaca się im iść na rękę, stosują konsekwentnie, raczej bez późniejszych zmian, ustawę z 1982 roku o przedsiębiorstwach "polonijnych" /nazwa umowna - nie muszą być polonijne/ popierając również mieszczącą się w niej możliwość przedsiębiorstw mieszanych. Warto też umożliwić cudzoziemcom - i oczywiście krajowcom, płacącym wszak tą samą walutą - zakup akcji przedsiębiorstw państwowych, rokujących dywidendy i wzrost wartości. W poszczególnych przypadkach można wprowadzić ograniczenia zmierzające do pozostawienia pakietu kontrolnego i w ślad za tym zarząd, w ręku państwa, czy tylko obywateli polskich. Należy się przy tym pogodzić, że może to oznaczać zmniejszenie możliwych do uzyskania efektów. W rozsądnych granicach należy utrzymać obowiązek dzielenia się z państwem wpływem z eksportu przez zagranicznych przedsiębiorców, niekoniecznie jednak drogą odpisów, gdyż możliwe to jest również przy pomocy zbieranych w kraju podatków.

Cały ten kompleks zjawisk powoduje napływ walut i dodatni bilans handlowy, a także napływ nowoczesnych produktów i technologii, drogą importu i inwestycji zagranicznych. Wzrost eksportu poprawia standing Polski jako dłużnika i kredytobiorcy. Kończy się zatem blokada kredytowa - gdyż wierzyciele odzyskują wiarę w odzyskanie swych należności i starają się to przyspieszyć. Kredyty napływają łatwiej i będą skuteczniejsze jeśli większość sum będzie pożyczac nie państwo bezpośrednio, lecz poszczególne jednostki gospodarcze na swe udokumentowane cele, korzystając jedynie z gwarancji państwowych - jak się przeważnie stosuje w świecie.

Obrót krajowy:

Ożywienie w handlu zagranicznym: zapotrzebowanie z zagranicy na tanie produkty i dopływ z importu niezbędnych środków do ich produkcji powoduje wzmocnienie aktywności produkcyjnej w kraju i jej racjonalizację, gdy wytwarza się to na co jest zgłoszone zapotrzebowanie, poprzez szybką i realną zapłatą. Nieistotny staje się umowny podział na grupy A i B, gdyż potrzebne mogą być tak samo buty jak i maszyny czy stal. Nieistotny staje się podział na produkcję rynkową, zapatrzoną w eksportową, gdyż każda jest tak samo płatna w tej samej walucie. Kończą się zatem kłopoty z kooperacją, która przestaje być tym gorszym rodzajem pracy.

Poprawa koniunktury oraz zwiększone dochody producentów i usługodawców nie dają się pogodzić z wyżściowym poziomem płac i niskim poziomem życia. Ograniczenia płacowe, działające de facto tylko w gospodarce uspołecznionej, bo prywatna i zagraniczna ma sposoby by płacić więcej. Powodowałoby to, gdyby utrzymać ten stan, upośledzenie gospodarki uspołecznionej i odpływ najlepszych kadr. Z drugiej strony nie ma już potrzeby utrzymywania antyinflacyjnej zapory w postaci sztywnych siatek płac i PFAZ, bo nie ma inflacji. Pracodawcy będą skłonni podnosić płace ale do granicy opłacalności, która jest mocno zróżnicowana. Lepiej prosperujący będą płacili więcej, innych nie będzie stać

na drogich i dobrych pracowników; rozpocznie się racjonalny ruch zatrudnionych, grupujący najlepszych w miejscach najbardziej efektywnych ekonomicznie.

Równoległe z wzrostem płac w gospodarce konieczne się stanie podnoszenie płac w sferze budżetowej. Będzie ona świadczyła - tam gdzie to jest możliwe i pożądane - odpłatne usługi na rzecz gospodarki i ludności /kolejnictwo, łączność, placówki badawcze, kulturalne etc/. Może to oznaczać wyłączenie ze struktury administracji państwa i przejście na rozrachunek własny niektórych instytucji lub częściowe uzupełnienie ich budżetu dochodami własnymi. Zważywszy, że podnoszenie płac w tej sferze będzie miało charakter wyrównawczy i wtórny, wystąpi zapewne odpływ pracowników do gospodarki, co także pozwoli na pewne moderowanie wzrostu płac i pośrednio - kosztów własnych. Należy bowiem przypuszczać, że szybko skończy się kilkuprocentowy załedwie udział kosztów osobowych w całości kosztów własnych, a zaczną się on zbliżać do poziomu uprzemysłowionych krajów.

Nieodzwonne stanie się także odpowiednie podnoszenie rent, emerytur i zasiłków. Związane to będzie z zmianami w polityce podatkowej.

Na wpływy budżetu państwa składają się m.in. podatek obrotowy - 35,5%, dochodowy - 24%, od wynagrodzeń i składki na ZUS /tylko z gospodarki uspołecznionej/ - po ok.10%. To są główne pozycje dające razem prawie 80% całości. Podatek obrotowy, obecnie najbardziej krytykowany jako cenotwórczy i napędzający inflację /doraźnie ma jej zapobiegać, ściągając złotówki z rynku, lecz powoduje nieodparty nacisk na płace i pełni, ze względu na swą wielkość, główną rolę w tym obrocie/ będzie można spokojnie zachować w pierwszym okresie po przeprowadzonej wymianie waluty. Wszak ceny w porównaniu do światowych okażą się i tak niezwykle niskie, nawet z wliczonym podatkiem, zaś na rynku krajowym pozostaną takie same w stosunku do płac. Podatek ten, zwłaszcza przy szybko zwiększającej się sprzedaży, zapewni państwu szybki i duży przyrwy pieniędzy, pozwalający na rozpoczęcie spłaty choćby odsetków od zadłużenia /będzie wszak w dolarach/, co właśnie znakomicie poprawi naszą pozycję w świecie i umożliwi interwencyjne zakupy wszystkiego czego przejściowo mogłoby zabraknąć w produkcji i na rynku przy nieuchronnym raczej bałaganie w pierwszej fazie przeorganizowania się gospodarki. Środki te pozwoliłyby też na elastyczną politykę podatków dochodowych, to znaczy na obniżenie go tam, gdzie mogłoby to przynieść pożądane efekty ekonomiczne, w tym wzrost sum podatkowych dla państwa przy niższej stopie i nieco później. Podatki od wynagrodzeń i opłaty na ZUS można by zachować. Pełniłyby one tę samą co teraz, lecz w nowych warunkach skuteczniejszą rolę hamulca przeciw nadmiernemu zatrudnieniu i negliżowaniu roli wydajności pracy. Poza tym, rosnąc wraz z płacami, tworzyłyby środki na pokrycie wzrostu płac w sferze budżetowej i na zwiększone świadczenia socjalne, w tym nie zasiłki dla bezrobotnych - nazywając rzecz po imieniu - gdyby tacy się pojawili, czego przewidzieć, ale i wykluczyć nie sposób.

Warto przy tym zaznaczyć, że trafiające tą drogą na rynek pieniądze są takimi samymi dolarami jak te płynące z zagranicy, tak samo pozwalają na zakupy wszystkiego co potrzebne i tak samo stymulują produkcję.

Obrót zagraniczny

Reagując na wykupywanie wszystkiego przez zagranicę, po niskich niezwykle cenach, podnosi się je stopniowo i ostrożnie, tak aby nie spłoszyć kupujących. Czynią to w pierwszym rzędzie zagraniczni producenci w Polsce, wywożący z niej swoje towary, a w ślad za nimi producenci krajowi. W ten sposób zbliżamy się, jeszcze nie tyle do cen światowych na analogiczne dobra, lecz do cen równowagi dla takich dóbr jak nasze - czyli wciąż gorszych. Dalsze podnoszenie cen do poziomu światowych i utrzymanie sprzedaży, tracącej stopniowo charakter wyjątkowej okazji, jest możliwe i pożądane tylko przez poprawę jakości

ci. W międzyczasie jednak eksporterzy gromadzili środki na modernizację i rozbudowę bazy produkcyjnej, doskonalenie technologii i produktów oraz rozpoczęli już te działania. Obniżenie zawartego w cenach podatku obrotowego pozwala na czasowy manewr w postaci obniżki cen, pozwalającej się utrzymać na rynkach w okresie dochodzenia do światowego standardu. W RWPG z łatwością - za dolary - kupujemy więcej ropy czy samochodów lepszych od naszych, a tańszych od zachodnich. Tu staramy się nie sprzedawać więcej niż kupujemy, by nie przyjmować nadwyżki w pieniądzach.

Stopniowo kończy się dumpingowy okres w handlu zagranicznym - bezprzedmiotowe stają się wytoczone z tego powodu postępowania. Jakość towarów i usług może jeszcze powszechnie nie osiągać światowego poziomu, lecz jest już porównywalna - a różnicę nadrabia się przy pomocy płac, które też są niższe, ale porównywalne z istniejącymi w rozwiniętych krajach.

Obrót krajowy:

Ponieważ istnieje tylko jedna cena, więc wzrost cen eksportowych oznacza taki sam wzrost na rynku wewnętrznym. Konieczna jest już trwała indeksacja płac i świadczeń. Cały czas, przy istniejącej swobodzie operowania cenami utrzymuje się stan równowagi na rynku. "Nawis" jest pojęciem historycznym. Na rynku są dostępne dobra krajowe i zagraniczne. Jeśli krajowe są gorsze to muszą być odpowiednio tańsze. Jeśli producent nie jest w stanie zmieścić się z kosztami w cenie - wypada z rynku i musi albo poprawić swoje wyniki lub zbankrutować. Okres wstępnego protekcjonizmu cenowego kończy się.

Amortyzująca rola obniżania podatku obrotowego tak samo sprawdza się na rynku krajowym. W sumie wpływy z tytułu tego podatku maleją - pozostaje on na stałe tylko w roli swoistej akcyzy na alkohol, tytoń, może - benzynę. Ogólne dochody państwa z tytułu wzrostu sumy podatków - przy rozwijającej się koniunkturze i mimo malejącej stopy podatkowej - mogą i powinny wzrastać, lecz wielkość i rola budżetu w stosunku do całości gospodarki - w tym państwowej - maleją. Jednostki gospodarcze - w tym państwowe - same sobie zdobywają dolary na wszystkie swoje potrzeby, również na inwestycje. Inwestorami nowych przedsięwzięć byłyby istniejące przedsiębiorstwa lub ich spółki. Państwo jako inwestor i organ założycielski dawałoby kapitał na zasadzie kredytu. Z budżetem jednostki gospodarcze rozliczają się podatkami i zapłatą państwa za produkty i usługi, te które akurat państwo nabywa. Jeśli z jakichś względów konieczna jest dotacja, to państwo, samorząd terytorialny czy inna instytucja może zaoferować korzystniejszą cenę, lecz powinien to być środek wyjątkowy, by nie podbijać cen na rynku. Zdrowszą formą byłyby oprocentowany kredyt, lecz lepiej by było, gdyby udzielał go bank, dysponujący wkładami, m.in. państwa, na handlowych zasadach. W ten sposób banki - państwowe, spółdzielcze, może prywatne - stałyby się jednostkami gospodarczymi a nie organami administracji i byłyby ekonomicznie zainteresowane w powodzeniu finansowych przedsięwzięć. Kontrola bankowa oceniałaby efektywność przedsięwzięcia, a nie zgodność z przepisami.

Tego rodzaju działalność jest teoretycznie możliwa i dzisiaj, lecz praktycznie nie wychodzi, kiedy pieniądź w obrębie gospodarki uspołecznionej ma charakter umownego przelicznika. Dolar natomiast byłby kapitałem, uruchamiającym dowolne środki produkcyjne. Wystarczy dać, czy raczej pożyczyc taki pieniądź, a całą resztę: surowce, materiały, moce budowlane i produkcyjne, zatrudnienie i wszystko inne załatwia sobie zainteresowany - w kraju lub za granicą.

W tym celu jednak prawdziwy pieniądź wymagałby klarownych rozliczeń i odrębnego upodmiotowienia przedsiębiorstw/fabryki, banki, kopalnie itd/ oraz skarbu państwa, nawet gdyby państwo było ich właścicielem czy współwłaścicielem.

Nie zmieniłby się natomiast charakter wydatków państwa na admini-

atrację, obronę, ochronę zdrowia, oświatę itp.

■ ■ ■

Gdyby system ten działał sprawnie przez jakiś czas, można by w obiegu krajowym zastąpić go nowym złotym, o dowolnym nominale /powiedzmy, równowartość franka szwajcarskiego, przez pamięć na reformę Grabzkiego z 1924/, lecz absolutnie wymieniałnym. Gdyby po jakimś czasie wyniki handlu zagranicznego okazały się gorsze, możnaby go lekko zdevaluować, co jest zresztą normalną praktyką. Gospodarka bowiem mogłaby jeszcze być słaba i niezbyt konkurencyjna, jak to w nienajbogatszym kraju, lecz funkcjonowałaby mniej więcej normalnie. Na zbliżonych zasadach wystartowała wszak ku normalności, a nawet "cudowi gospodarczemu", gospodarka Niemiec Zachodnich po reformie walutowej prof. Erhardta w 1948 roku, gdy wprowadzono wymieniającą markę zachodnią.

Przykrą prestieżowo stroną takiego zabiegu byłaby nawet czasowa rezygnacja z własnej waluty, choć i obecnie nie jest ona powodem do dumy...

ERNEST SKALESI

Wielki konsensus

Człowiek Zachodu zwykle widzi ręką dobrobytu, postępu, wreszcie bezpieczeństwa w urządzeniach demokratycznych, jak parlament, powszechne wybory, samorząd lokalny czy niezależne sądownictwo. Na pewno nie bez racji, chociaż związki między demokracją a innymi wartościami nie zawsze bywają bezpośrednie, proste i czytelne. Z reguły przy tym zapomina się o fundamencie, na jakim zbudowane są demokratyczne systemy polityczne. Nie, żeby był trudno dostrzegalny, przeciwnie - nazbyt pospolity, żeby zwrócić uwagę. Wszakże bowiem stabilne systemy polityczne, zwłaszcza demokratyczne, opierają się na powszechnej zgodzie co do głównych wartości, instytucji, reguł i mechanizmów ustrojowych, na wielkim ogólnospołecznym konsensusie. Podlegają mu w myśleniu jak działaniu jednostki i grupy, nierzadko mimowolnie, bazrefleksyjnie. Treść owego konsensusu z grubą odpowiedzią "realnej konstytucji", różnej części od "konstytucji pisanej", tego uroczystego dokumentu, który nie ma, bywa, wiele wspólnego z rzeczywistością.

Wygląda na paradoks, że u podstaw ustroju pielęgnującego pluralizmy i partycyparyzmy leży jedynomyślność. Współczesne demokracje nie tylko, lecz także tolerują drastyczne różnice opinii i dają możliwość ich politycznego wyrazu. Konflikty są tu wręcz funkcjonalnie wpisane /wraz z mechanizmami ich rozwiązywania/. Właśnie dzięki grze różnorodnych interesów bardziej lub mniej sprzecznych, życie polityczne samoistnie pełni rolę regulatora procesów społecznych, gospodarczych i innych - decydując o sposobach usuwania doraźnych problemów, przystosowując kraj do zmianionych warunków, wreszcie samoreformując się w miarę potrzeby. Konflikty okiełznane w jarzmie demokracji stanowią o dynamice tego typu ustrojów... Na innym jednak poziomie, niż Wielki Konsensus, który ma charakter, można rzec, głębinowy.

Dość dobrze to widać na przykładzie radykalnej opozycji, nawet tak radykalnej jak partie komunistyczne w Europie Zachodniej. Gruntownie i wszechstronnie sprzeciwiają się status quo, lecz, co najmniej w praktyce, odrzucają zamach stanu jako drogę do władzy, trzymając się ustalonych procedur demokratycznych. Mało, ale dosyć, żeby nie powodować zakłóceń w działaniu systemu. Ze strony kierownictwa partii komunistycznej może to być zabieg taktyczny /sam w sobie jednak o czymś świadczą/. Prawdopodobnie dla przytłaczającej większości bezpartyjnych

wyborców głosujących na komunistyczną listę, którym partia zewdzięcza znaczenie polityczne, akceptacja demokratycznych zasad jest bezwzględnym warunkiem poparcia udzielanego programowi komunistów, z którym składają owi wyborcy się solidaryzują.

Z drugiej strony nawet małe grupki aktywne politycznie, tak małe, że stanowią margines marginasu, zdecydowanie odrzucają Wielki Konsensus, stwarzają sporo zamieszania i, wydawać by się mogło, nieproporcjonalne problemy. Przykładem choćby prawicowi i lewicowi terroryści albo niektóre małe, popularne za to, nadzwyczaj czynna ugrupowania separatystyczna.

Niewykluczone, że coś wyjaśni prosty eksperyment myślowy. Załóżmy, że prezydent Stanów Zjednoczonych nie tylko cieszy się sympatią zdecydowanej większości wyborców, jak teraz R.Reagan, ale ma za sobą również większość obu izb Kongresu, wszystkich gubernatorów stanowych, CIA, FBI, siły zbrojne itd. Zatem po przepisowych dwu kadencjach na urzędzie odmawia przejścia w stan spoczynku: Teoretycznie możliwe, a przecież - przynajmniej wczoraj i dziś - nie do pomyślenia... Na początku, trzymając, zdawałoby się, wszystkie atuty, prezydent zapewne przeprąży, utraciwszy od razu nie tylko popularność w społeczeństwie, lecz również popleczników w administracji i legislaturze. Dlaczego? Ponieważ zagroził samemu fundamentowi, na którym wspiera się porządek konstytucyjny, i na którym wszyscy, w tym politycy, urzędnicy i generałowie budują również swój osobisty los. Złamał powszechny konsensus. Owe gdybania o tyle są jałowe, że żadnemu dotychczas prezydentowi nawet nie przyszłoby coś podobnego do głowy. Rzecz to bowiem nie do pomyślenia, absurdalna, niemożliwa... no właśnie.

Wielki Konsensus, jak każdy konsensus, jest w gruncie rzeczy ugodą, a nawet w pewnym sensie nieformalnym kontraktem i wymaga kompromisu. Jednostki mogą mu się poddawać świadomie lub bezrefleksyjnie /częśćiej/ z ochotą albo z oporami, w przeświadczeniu albo konformistycznie. Dla klas, warstw, grup, kościołów, stanów, partii, organizacji i innych dających się wyróżnić segmentów społeczeństwa, każdy ogólnospołeczny konsensus /bo może on przecież przybierać różne formy/, wiąże się z pewnymi wyrzeczeniami w imię zagwarantowanych pewnych praw czy innych korzyści. Już samo przyznanie jakichkolwiek uprawnień drugim jest ograniczeniem własnej swobody działania, a zatem zawsze w pewnej mierze oznacza poświęcenie własnych interesów.

Spółczeństwo w całości i poszczególne jego części mają swoją dynamikę rozwoju - zmieniają się stosunki społeczne. Z czasem takim czy innym środowiskom przestaje odpowiadać dotychczasowy konsensus i nie raz przemawiają za tym poważne racje. Nie wolno też lekceważyć przemian w świadomości społecznej, grupowej, które mogą mieć nawet całkowicie samodzielne znaczenie. Bywa zapewne, że korektury w ogólnospołecznej ugodzie pojawiają się automatycznie, prawie "same z siebie", więc prawie trudno je zauważyć. Bywa, że Wielki Konsensus załamuje się - znaczący segment społeczeństwa otwarcie odrzuca dotychczasowe reguły, następuje prawdziwy kryzys polityczny, ustrojowy, nie gabinetowy, parlamentarny czy inny.

Zaczyna się zazwyczaj od dogłębnej krytyki systemu ze strony rzeszy niezadowolonych. Potem dochodzi do najpierw symbolicznych, a z czasem coraz mniej symbolicznych protestów, uporządkowania żądań w jeden pakiet i organizowania się dla ich poparcia. Stąd niekiedy prosta droga do poważnych niepokojów i oczywiście z drugiej strony prób tłumienia tychże. Czasem wszystko kończy się rozruchami, zamachem stanu, rewolucją gwałtowną albo i nie, wojną domową... Rewolucja rosyjska, przejście władzy przez Mussoliniego we Włoszech i Hitlera w Niemczech, powstanie i upadek republiki w Hiszpanii, walka o prawa pracownicze w W. Brytanii i Stanach Zjednoczonych przed I i II wojną światową, rewolta studencka we Francji 1968, niepokój murzyński w tym samym czasie w USA, pucz Pinocheta, obalenie władców Iranu i Etiopii - oto kil-

ka wybranych na chybił-trafił z najnowszej historii, zupełnie różnych przykładów tego schematu. Praktycznie zawsze koniec jest jednaki: ustalenia się na jakiś czas nowego ogólnospołecznego konsensusu; nie zawsze po myśli przeciwników starego i z reguły w wersji różnej od ich pierwotnych postulatów tudzież śmiałych nadziei.

Zdarza się, że treści Wielkiego Konsensusu przestają odpowiadać bardzo co prawda wąskim, ale wpływowym środowiskom, związanym z elitą władzy. Na przykład dochodzą one do wniosku, że otrzymują za mało w porównaniu z tym, co mogłyby otrzymywać w nieco zmienionych warunkach, a stworzenie takich warunków leży w ich mocy, jeżeli tylko przestaną się czuć związane niektórymi szeroko uznawanymi w społeczeństwie zasadami. Wypowiedzenie Wielkiego Konsensusu w tym wypadku przybiera postać typowego zamachu stanu, puczu, przewrotu, rewolucji pałacowej - kilka nazw dla, w gruncie rzeczy, tego samego. Z tym, że gdzieś niegdzie przewroty, zwłaszcza wojskowe, należą do zwyczajowych metod walki politycznej.

Udany zamach stanu wieńczy najczęściej ustanowienie dyktatury, bardziej lub mniej jawnej. Dyktator /osoba albo grupa/ zwykle zrazu opiera swoje rządy głównie na terrorze, korzystając z państwowego /policja, wojsko/ lub "prywatnego" /np. bojówki/ aparatu przymusu. Terror zdaje się istotą dyktatury, a przeciw dyktator od początku stara się uzasadnić, usprawiedliwić, zalegitymizować swoją władzę. Pozuje, wygłasza frazesy, usiłuje związać ze sobą znaczące grupy społeczne, wymusza uznanie ze strony parlamentu, tworzy organizację polityczną, w imieniu której rzekomo rządzi /podczas gdy w rzeczywistości jest raczej na odwrót/, ustanawia prawa legalizujące jego poczynania, rozpisuje nawet wybory i oczywiście zwycięża w nich, kiedy poczuje się pewniej w siodle...

Z czasem każdy dyktatura w coraz mniejszym stopniu opiera się na nagiaj przemocy, chociaż przemoc zawsze pozostaje kręgoślupem dyktatury. Prędzej czy później między społeczeństwem i dyktatorem ustala się jakiś modus vivendi, szanowane po cichu przez obydwie strony. Nie zważając na nie, społeczeństwo naraża się na falę represji. Deptając je nieopacznie, dyktator musi liczyć się z wybuchem społecznego niezadowolenia, tym niebezpieczniejszego, że, inaczej niż w systemach demokratycznych, pod rządami autorytatywnymi wszelkie frustracje są z reguły wyraźnie i jednoznacznie ukierunkowane. Iluż władców upadło, gdy posunięcie blahe, zdawałoby się, ale godzące w poczucie sprawiedliwości społeczeństwa wywoływało gwałtowny protest, który przerodził się w bunt nie do opanowania...

Podobno nie można długo siedzieć na bagnietach. Przy bliższym wejrzeniu okazuje się, że stabilna dyktatura wymaga tego samego co stabilna demokracja - ogólnego konsensusu. Zapewne jest to konsensus innego rodzaju, przede wszystkim "milczący"...

Studując dowolną dyktaturę łatwo spostrzec, jak bardzo różni się jej faza początkowa od stadium "dojrzałego". Dyktatura, której nie udało się przejść owej przemiany nie utrzyma się, napotykać rosnący i coraz lepiej zorganizowany opór. Miastety /albo "stety", zależy od punktu widzenia/, z natury rzeczy społeczeństwo szybko uczy się żyć ze swoją dyktaturą. Nie znaczy to wcale, że któregoś dnia ważące odłamy społeczeństwa nie odrzucą status quo nie tylko w teorii, ale również w praktyce, bo ta jest tu najistotniejsza. Wtedy dyktator może ustąpić częściowo lub całkowicie, albo uciec się raz jeszcze do terroru, albo jedno i drugie, albo wreszcie nie zrobić nic, co zwykle oznacza koniec... Tak czy inaczej, konsensus ustanawia się na nowo.

Nie wartościując, rozróżnić można konsensus społeczny pozytywny i negatywny. Kryterium będą podstawowe motywy zgody na status quo. Pozytywny zasadza się na uznaniu za pożądane istniejących stosunków, na afirmacji. Negatywny wypływa z rezygnacji: bo inny korzystniejszy układ jest w ogóle albo w danej chwili niemożliwy, bo zmiana wiązałaby

się ze zbyt dużym ryzykiem, pociągnęłyby zbyt wiele ofiar itp. Z pewnością w każdym ustabilizowanym ustroju spotkamy mieszkankę tych postaw, rzecz tylko w proporcji. Szczególnie konformizm to wszechobecny żywioł polityczny.

Wielki Konsensus w takiej czy innej postaci wykryjemy w każdym systemie politycznym, współczesnym czy historycznym. Oczywiście, trzeba brać poprawkę na czasy i współrzędne geograficzne - sposób myślenia ludzi może się różnić drastycznie od naszego. Można czcić cesarza jako boga albo jako niezwykłego wodza, widzieć w nim gwaranta porządku prawnego albo władcę żywiołów czy pomazańca.

■ ■ ■

Wyrażenia "umowa społeczna" i "porozumienie społeczne" zdobyły sobie u nas dość niespodziewanie rację bytu. Prasowo-przemówieniowe epitetety postajkowych porozumień z Sierpnia'80 przemienione w słowa-klucze do całej naszej skomplikowanej sytuacji - zadziwiająca i znamienna /prawie symboliczna/ kariera. Widać dobrze i wszystkim kojarzyły się z wypadkami w kraju. Skutek to raczej intuicji niż refleksji.

"Umowa społeczna" stanowi dość odległe w istocie i niezbyt logiczne zapożyczenie z archaicznej acz szlachetnej tradycji oświeceniowej filozofii politycznej. Próby odniesienia obecnej sytuacji do tamtych czcigodnych, od dawna muzealnych konceptów, wydają się zajęciem jałowym.

"Porozumienie społeczne" jest zaś zbitką zupełnie nową. Oba terminy mają może trochę niewyraźny, ale zdecydowany zakres znaczeniowy i mimo usilnych starań nie zdążyły zmienić się w czcze frazesy. Co więcej, rozumie się we wszystkich środowiskach niemal jednakowo, chociaż niektórzy udają, że pojmują je po swojemu, nadając /zwykła manipulacja/ "u-mowie społecznej" i "porozumieniu społecznemu" wypaczony sens.

Bzdurą byłoby zastępowanie przyjętych, dobrze już zdomowionych i wszystkim zrozumiałych wyrażen, nawet jeżeli nie grzeszą precyzją, nowymi egzotycznymi terminami, zapewne wcale nie lepszymi. Jedynie aby uściślić ich znaczenie, przyrównajmy "umowę społeczną" i "społeczne porozumienie" do owego Wielkiego Konsensusu, leżącego u podstaw każdego systemu politycznego. Właściwie truizmem będzie, jeżeli powiemy, że społeczeństwo polskie co najmniej od połowy lat siedemdziesiątych dąży do nowego konsensusu. Ugody, która zadowoliliby w jakimś stopniu wszystkie znaczące jego segmenty, łącznie z tymi, którzy związali swój los - jak im się wydaje nieodwołalnie - ze status quo ante. Mimo wszelkie i dramatyczne próby, kształt owego konsensusu wciąż ledwie majaczy przed nami. Chociaż nie tak przecież dawno mogło się wydawać, że jesteśmy na najlepszej drodze...

Kraków, 22.01.1985 r.

MAREK STRZAŁA

/Tekst zdjęty przez cenzurę z "Więzi"/

Zdrowy dwubiegunowy model

Bywa, że mówiąc o polskiej opozycji politycznej porównuje się ją do rodzących się sto lat temu ruchów politycznych, dziś nazywanych tradycyjnymi - SN-D, PPS, SL. Jest to porównanie sensowne tylko wtedy, gdy się przyjmie, że i w naszych czasach - tak jak przed stu laty - po pierwszych próbach i błędach nastąpi podobnie owocny ciąg dalszy. Przy sprzyjającej koniunkturze, po kilkudziesięciu latach, tamte wysiłki doprowadziły do niepodległości. I dziś liczymy na lepszą koniunkturę - tymczasem robiąc swoje. Dotychczas w tym obrazie, o którym chcielibyśmy powiedzieć, że jak najwierniej przypomina tamten sprzed stulecia, brakowało jednego istotnego elementu: jasno wykrystalizowanych podziałów politycznych. Do niedawna widzieliśmy tu głównie różnice personalne, nie merytoryczne. A jeśli pojawiały się grupy określające się jako partie czy ruchy polityczne, to ich deklaracje były deklaracjami na wyrost. Ruchu politycznego nie można wymyślić. Trzeba najpierw zająć się jakąś robotą niezależną, zetknąć się z trudnościami, poznać ludzi, rozpoznać w nich sojuszników i przeciwników, ustalić także w praktyce niezależnego działania, nie tylko w teorii, hierarchię wartości i metody wiodące do obranego celu. Trzeba wysłuchać wielu krytyk, trzeba wytężonej pracy myśli w konfrontacji z innym myśleniem, żeby odrzucić plewy a ustalić rzeczywiste kanony swoich politycznych poglądów. I wtedy dopiero oświadczenie o powstaniu ruchu politycznego /partii/ jest wiarygodne.

Dlatego polska opozycja polityczna teraz dopiero dorobiła się poważnych, rzeczywistych podziałów, zaczątków prawdziwych stronnictw politycznych. Prawdziwych to znaczy prezentujących, choćby w zarysach, wizję ułożenia stosunków w wolnej Polsce, pożądany model rządzenia. Jest oczywiste, że posiadanie takiej wizji łączy się automatycznie z pretendowaniem do władzy, nawet jeśli pretendentami nie są publicyści werbalizujący ową polityczną wizję. Są nimi zwolennicy tej wizji, działacze i trzeba wyraźnie podkreślić, że jest to normalny stan rzeczy i nie ma się czego wstydić ani wypierać. Jeśli rodzą się kadry elit politycznych przyszłej Polski, to znaczy, że się europeizujemy, że normalniejemy. Mówiąc, że dziś w Polsce powstają zaczątki poważnych stronnictw mam na myśli to, że owe grupy są owocem wyżej opisanej ewolucji, a nie pustostowiem kryjącym brak myślenia i doświadczenia politycznego za parawanem szumnych deklaracji a nawet doktryn /np. solidaryzm/. Piszę, że opozycja się tych podziałów "dorabia", bo uważam je za element twórczy w działaniach opozycyjnych. Tak też sądzi Piotr Wierzbicki w swej nowej książce, o której się ostatnio dużo i nieraz gwałtownie dyskutuje *).

■ ■ ■

Przekonanie o dobroczynnym wpływie takiej polaryzacji na niezależne życie polityczne w kraju jest pierwszą i najważniejszą wartością tej książki. Są też i inne.

Wierzbicki zyskał w późnych latach 70-tych rozgłos jako autor "Traktatu o gnidach". Teraz pisze o inteligencji z całkowicie przeciwnych pozycji i wyjaśnia tę "dziwną przemianę inteligentów". Wydaje się, że przemiana taka rzeczywiście nastąpiła. Polski inteligent, który w czasach gierkowskiych najczęściej ze strachu był posłusznym

*) Piotr Wierzbicki, Myśli staroświeckiego Polaka, Wydawnictwo Głos, Warszawa 1985

narzędziem władz, a swoje posłuszeństwo uzasadniał tym, że na jego miejsce mogą przyjść inni, gorsi, teraz zazwyczaj pozostaje w - bodaj potencjalnej, biernej - opozycji. Zatracił on jednak niemal zupełnie umiejętność działania taktycznego, zadawałają się moralną wartością ideowej niezgody na komunizm. Otóż właśnie gest sprzeciwu, który w latach 70-tych miał znaczenie polityczne, bo budził sumienia ludzkie, a poprzez dawanie przykładu czynił ludzi odważniejszymi, obecnie takie znaczenie zatracił. Stało się tak dlatego, że tzw. masy już się politycznie przebudziły, już w zasadzie nie używają nowomowy, już w zasadzie czarnego nie nazywają białym. Być może normalizacja /czyli pacyfikacja poprzez wpojenie poczucia beznadziejności dalszego oporu/ wpędzi narów lub dużą jego część z powrotem w strach i milczenie, ale póki co, nie jest to naszym głównym zmartwieniem. Naaz problem nie polega na tym, jak przekonać ludzi, że komunizm jest zły, tylko na tym, jaki im zaproponować bieżący model życia w maksymalnej niezależności od systemu. Stąd potrzeba taktyki, gry, bo - jak słusznie pisze Wierzbicki - polityka to gra i podejmując ją należy mieć tego świadomość.

Prowadząc politykę należy przewidywać skutki podejmowanych działań, o czym nie zawsze pamiętamy. W szczególności nie pamiętała o tym TKK wzywając do akcji protestacyjnych z góry skazanych na porażkę. Nie pamięta o tym i dziś, jak o tym świadczy wezwanie do strajku generalnego na 1.VIII.85*). Wydaje się, iż Wierzbicki słusznie przypisuje ten rodzaj dzisiejszego radykalizmu środowiskom lewicowym, wszak TKK, RKW, RKS-y, jak też szereg struktur i wydawnictw międzyzakładowych i zakładowych "S" reprezentuje dominujący w niej ruch robotniczy. Inna rzecz, że środowiska prawicowe, które autor stawia za wzór odpowiedzialnego działania politycznego, żadnych działań masowych w ogóle nie podjęły, a całą aktywność skupiły na pracy wydawniczo-koncepcyjno-samokształceniowej. Oznacza to rezygnację z jakiegokolwiek doradztwa skutecznego, a także - jak sądzę - rezygnację z wszelkiej w ogóle gry z przeciwnikiem, a nie tylko rezygnację z gry nierozważnej - co zaleca Wierzbicki. Do kwestii tej wypadnie mi jeszcze powrócić.

Skoro jest już mowa o "Solidarności", to powiedzmy od razu, że krytycyzm Wierzbickiego idzie w tej sprawie o wiele dalej. I słusznie. "Solidarności" legalnej zarzuca autor "Traktatu..." przede wszystkim nadmiar demokracji, który to zarzut może się niektórym wydać niezrozumiały. Ale na pewno taki nie jest dla działaczy, którzy się z ową związkową demokracją zetknęli osobiście i wiedzą, jak często uniemożliwiła ona jakiegokolwiek skuteczne działanie**). Wierzbicki nie jest pierwszym, który zauważył ten mankament legalnej "S" i wiele wskazuje, że pomału w środowiskach opiniotwórczych poglądy, iż demokracja nie jest jedynym kryterium oceny działania wielomilionowej organizacji, zdobywa sobie prawo obywatelstwa.

Krytyka "Solidarności" podziemnej i jej kierowniczych ośrodków nie zatrzymuje się na poziomie taktyki, ale sięga głębiej: do założeń strategicznych ruchu. Otóż wydaje się, że kierownictwo podziemnej "S" rzeczywiście wierzy /albo przynajmniej daje to do zrozumienia/, że: 1/ ekipa Jaruzelskiego jest słaba, 2/ ekipa ta dysponuje poparciem za ledwie marginesu narodu. Obydwa te założenia są oczywiście z gruntu fałszywe. Pierwsze jest owocem rozumowania: ekipa jest wysoce niemoralna, co równa się słaba, które to rozumowanie jest kompromitacją myślenia politycznego, a przecież mu choćby 70-letnie istnienie Związku

*) Tekst pisany w sierpniu'85

**) Np. w Krakowie wszystkie posiedzenia Prezydium Zarządu Regionu były otwarte dla publiczności, e równocześnie było wiadomo, że - co politycznie zrozumiałe - są wśród niej ubecy. Dlatego pewne decyzje, które aby być skutecznymi musiały być tajne, podejmowano w węższych graniach wbrew demokratycznym zasadom albo nie podejmowano ich wcale, albo wreszcie podjęte na otwartych posiedzeniach Prezydium traciły wszelki sens.

Radzieckiego. Drugie jest wynikiem operacji podobnej: poparcie dla wyoce niemoralnej ekipy jest też niemoralne, co oznacza, że nikt uczciwy tej ekipy poprzeć nie może, Polacy są po Sierpniu w przygniatącej mierze uczciwi /w sprawach publicznych/, znaczy to, że komunistów popiera w Polsce poza aparatem, policją i wojskiem jedynie garstka emerytów i "etatowych" popieraczy wszystkich kolejnych ekip. I ta dedukcja jest jawnie błędna, a liczby takie jak 30% pracowników w nowych związkach czy 60% obywateli u urn wyborczych w czerwcu '84, omal żaden w skali kraju odzew na wezwanie do strajku generalnego 1.VII - wskazują jak dalece rzeczywistość nie odpowiada tej w istocie życzeniowej wizji społeczeństwa stawiającego powszechny opór komunistom.

Wielu opozycjonistów starej daty, by tak nazwać tych, którzy prowadzili niezależną działalność w latach 70-tych - obrusza się najbardziej na te fragmenty "Myśli...", które dotyczą owego wczesnego etapu ich działalności. Myślę, że nie mają racji, a Wierzbicki generalnie słusznie pokazuje słabość tamtego ruchu. Demokratyczna opozycja zdominowana była przez KSS KOR i do tej jej części odnoszą się krytyczne uwagi Wierzbickiego. Szkoda, że tylko do niej, bo i nurt drugi czyli ROPCiO/KPN nie był wolny od grzechów raz podobnych, raz innej natury; ich pominięcie stwarza obraz o zniekształconych proporcjach - i o to można mieć do Wierzbickiego pretensje. Ale nie można kwitować jego książki krótkim: "paskwil na Solidarność" czy "atak na KOR", bo jako żywo książka jego ani jednym ani drugim nie jest. Nie jest drobniawym czepianiem się przypomnienie zgorznienia i zaniepokojenia opozycji korowskią faktem powstania konkurencji w postaci ROPCiO czy KPN-u, ani traktowanie ROPCiO czy KPN-u jako ubeckiej prowokacji. Nie jest, bo taka postawa była praktycznym zmierzaniem do monopolu, zmierzaniem bo - na szczęście - tego monopolu nigdy nie osiągnięto. I sądzę, że choć ten kardynalny błąd można w części tłumaczyć okolicznościami tamtego czasu, to nie można go po prostu usprawiedliwić. Nie usprawiedliwia go ani prymitywmy antysemityzm niektórych pisemek KPN-u, ani pustostowie i megalomania jego działaczy.

Wierzbicki nazywa nasze społeczeństwo lewicowym. Myślę, że mimo braku odpowiednich badań opinii publicznej nie trzeba przeprowadzać długich dowodów dla usprawiedliwienia tej tezy). Wystarczy przypomnieć powszechne w Polsce przekonanie, że jest źle, bo państwo "nie zapewnia" tego czy owego, powszechne poparcie dla prowadzonej w massmediach kampanii antyspekulacyjnej, charakter roszczeń socjalnych /szczególnie tych oddolnych/ z lat 1980-81. Nad tym Wierzbicki słusznie ubolewa. Sądzę tak jak on, że uświadomienie Polakom, ale nie tylko elicie, lecz jak najszerszym kręgom społeczeństwa, na czym polega gospodarka, a dalej - cena, pieniądz, zysk itd. jest jednym z najważniejszych zadań niezależnej publicystyki. Lewicowość naszego społeczeństwa nie polega bowiem jedynie na opiniach, wzmacnianych przez system o upaństwowionej gospodarce, ale i na nieznaności elementarnych podstaw ekonomii. Tej ignorancji uwidocznionej wyraźnie w okresie "16 miesięcy" stosunkowo łatwo jest przeciwstawić niezależną ekonomiczną publicystykę, a nie robi się tego w stopniu wyjątkowym. Natomiast podtrzymywanie przez część niezależnych grup opiniotwórczych tworzonego przez komunistów mitu gospodarki planowej lub jego pochodnych jest utwierdzaniem mas narodu w łatwych iluzjach. Konsekwencją tego mitu jest przekonanie, że w wolnej Polsce z łatwością zaprowadzimy dobrobyt - przekonanie pozbawione wszelkich podstaw ekonomicznych. Realia są bowiem takie, że wolna Polska - gdy powstanie - stanie pod gigantycznym problemem pod tytułem "Co robić z nierentow-

*) Potwierdzają ją badania cząstkowe lat 70-tych i okresu legalnej "Solidarności". Powołuje się na nie M.Sobolewski w niepublikowanej dotąd pracy "Polska kultura polityczna", Kraków 1981, maszynopis.

nym przemysłem, którego nawet nie można wystawić na sprzedaż, bo nikt go nie kupi". Systematyczne dopłacanie do deficytowych hut jest abejracją, której nie ma sensu dłużej utrzymywać, natomiast koniec subwencjonowania oznacza ich bankructwo oraz ogrom wynikających stąd problemów politycznych i społecznych. Dlatego niezależna publicystyka, która twierdzi, że w wolnej Polsce można będzie sobie pozwolić na socjal-demokratyczną politykę gospodarczą jak w rozwiniętych krajach Zachodu, zwyczajnie oszukuje ludzi i to w dodatku takich, którzy /np. jako związkowcy/ tym chętniej poprą wizję Welfare State i których tym trudniej będzie kiedyś wprowadzić z błęd.

■ ■ ■

Książka Wierzbickiego, jakkolwiek cenna, nie ustrzegła się jednak błędów. Autor pisze o lewicy niezależnej, opozycyjnej, ale momentami jakby zapomina, że to co innego niż komuniści. Faktem jest, że lewica komunistyczna i socjaldemokracja wyszły z wspólnego prądu, z marksizmu. Ale co najmniej od rewolucji bolszewickiej zarysował się między tymi nurtami podział zupełnie zasadniczy, wręcz przepaść, której poważna publicystyka nie może nie zauważać. Szczególnie w Polsce podział ów był bardzo radykalny w dwudziestoleciu międzywojennym, kiedy to PPS stała na stanowisku demokracji parlamentarnej według modelu konstytucji marcowej i aktywnej opieki państwa nad warstwami biednymi - wszystkim to w ramach niepodległej RP, natomiast komuniści optowali za włączeniem Polski jako kolejnej republiki do ZSRR, które to ramy ustrojowe miały zapewnić pełny egalitaryzm, dobrobyt etc. Przywołanym to istotne rozróżnienie, bo utrzymuje się ono z pewnymi modyfikacjami do dzisiaj w PRL, natomiast Wierzbicki jakby chwilami o tym zapomina i wręcz utożsamia te dwa, tak odległe od siebie nurty. Autor ubolewa nad tępieniem prawicy w początkach PRL-u i pisze: "Przez pierwszych dziesięć lat PRL lewica walczyła z prawicą nie tylko słowem, lecz również ogniem i mieczem wspierając /podkreślenie M.Z./ argumenty marksistowskiej dialektyki policyjnym terrorem, deportacjami, aresztowaniami, wyrzucaniem na bruk". Podkreśliłem słowo "wspierając", bo wynika zeń niedwuznacznie, że to niezależna lewica kierowała Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego, co już jest - przykro to pisać, bo książka w całości jest interesująca - zdurę wprost piramidalną. To, że część socjalistów przeszła wtedy na pozycję ideowej współpracy z komunistami oraz to, że część ówczesnych młodych komunistów /głównie ZMP-owców/ po Październiku zaczęła znowa przechodzić na pozycję niezależne, czasem wręcz antykomunistyczne - to fakt historyczny. Lewica nie powinna się tego faktu wypierać, ani też twierdzić, że to mało ważny epizod. Ale Wierzbicki nie ma prawa malować tych ludzi jak stalinowskich oprawców. W latach powojennych niezależna lewica nie tyle walczyła z prawicą /bo jej zasadniczo nie było, wytępił ją komuniści w pierwszej kolejności/, co walczyła o utrzymanie resztek niezależności od PPR, a potem już pojedynczo od PZPR, co kończyło się zazwyczaj oskarżeniem o prawicowość i uwięzieniem.

Wierzbicki buduje na użytek swojej książki definicję lewicy i prawicy. Obie formacje definiuje ostrożnie za pomocą słowa "raczej", co jest - jak myślę - zaletą tej definicji. Buduje opozycje terminów skrajnych /np. własność prywatna - własność państwowa; tradycja polska - tradycja europejska; tradycja katolicka - tradycja laicka; itp./ i twierdzi, że prawica opowiada się raczej za jednym, lewica zaś raczej za drugim i tak układa, wcale zgrabnie, swoją definicję. Natomiast w jednym przypadku podane przez niego kryterium budzić może poważne wątpliwości. Autor mówi, że lewica nastawiona jest raczej życzliwie "do socjalizmu w wydaniach jeśli nie realnych to przynajmniej idealnych", natomiast prawica jest im obu nieprzychylna. Otóż przypisywanie takiej przychylności obecnej polskiej niezależnej lewoicy jest

zasadniczym nieporozumieniem. Nikt rozsądny nie wątpi, że prawica jest wroga zarówno komunizmowi jak i socjalistycznym utopiom. Ale za razem nikt rozsądny nie uwierzy, że popiera je niezależna lewica a to właśnie sugeruje Wierzbicki. Bo czymże innym niż komunizm jest "socjalizm realny" /a przecież autor nie wyklucza poparcia dlań lewicy/, czymże innym niż socjalistyczną utopią /chyba jednak przedmarksowską?/ jest "socjalizm idealny"?; wszak żaden socjalistyczny rząd Zachodu nie wcielił jeszcze w życie owej XIX-wiecznej czy starszej wizji społeczeństwa, choćby z tego prostego powodu, że zachowane zostały sprężyny sprawnej gospodarki - prywatna własność środków produkcji.

W innym jeszcze miejscu definicja lewicy budzi wątpliwości, choć już nie tak zasadnicze. Wierzbicki powiada, że ideałem gospodarczym prawicy jest własność prywatna, zaś lewicy - własność państwowa, społeczna, ogólnonarodowa, samorządowa. Jest to nieścisłe. Generalnie polska lewica w swojej publicystyce nie poświęca wiele miejsca zagadnieniom własności, a jeśli już to robi, to w sposób niedjednołoty i nie zawsze jasny. Na pewno jednak zastrzeżenia lewicy budzi centralnie sterowana gospodarka państwowa, taka jak w PRL. Widać to wyraźnie w szeregu komentarzy na tematy gospodarcze, nawet w prasie informacyjnej jak "Tygodnik Mazowski" czy "KOS". To po pierwsze. Po drugie nie można traktować stanowiska "Solidarności" z roku 1981 jako miarodajnego dla lewicowej wizji optymalnej gospodarki. Co prawda w tym wypadku można utożsamiać poglądy lewicy i "Solidarności", ale nie można zapominać, że poglądy te były wyrażane w pewnym szczególnym momencie historycznym. Wtedy mianowicie, kiedy chodziło o rozbięcie partyjnej nomenklatury w zakładach pracy - temu służyć miały samorzady. Być może masy robotnicze wyobrażały sobie wówczas, że samorząd to owo wielokrotnie wyśmiewane przez Wierzbickiego zarządzanie gospodarką przez miliony. Natomiast lewicowi eksperci przewidywali przyznanie dyrektorowi - by tak rzec - władzy wykonawczej w przedsiębiorstwie, samorządowi zaś - władzy analogicznej do tej, jaką dysponuje w przedsiębiorstwie kapitalistycznym rada nadzorcza. Zapewne nie był to projekt gwarantujący maksymalną efektywność gospodarczą /wazek samorząd na Zachodzie, jeśli istnieje, ma inną, podrzędną pozycję/, nie można jednakże nie widzieć, że był to w materii efektywności gospodarczej wyraźny postęp pozwalający na wyeliminowanie z naszej ekonomiki decyzji skrajnie nieracjonalnych. A szczególnie nie można zapominać, i to jest zaniedbanie karygodne, podstawowego politycznego celu, jakiemu samorząd miał służyć w 1981 roku.

Zdaniem Wierzbickiego nurt radykalny w legalnej "Solidarności" reprezentowała lewica. Wydaje się, że jest to sąd co najmniej uproszczony. O ile bowiem masy można nazwać w zasadzie lewicowymi /w zasadzie, bo w ostatnich miesiącach przed 13 Grudnia właśnie w częściach mas szybko przyjmowały się hasła zgoła nielewicowego a radykalnego KPN-u/; o tyle wśród przywódców i doradców Związku wielu lewicowców, w tym liderzy KSS KOR, działało na rzecz umiarkowania angażując nieraz swój osobisty autorytet np. w sprawę zakończenia wielu lokalnych strajków. Późniejsze radykalne wezwania Jacka Kuronia z Białołęki nie mogą przesłonić jego oczywiściego umiarkowania owej pamiętnej jesieni. Tyle o faktach. Inna rzecz, że na niepełnych bądź błędnych informacjach opiera Wierzbicki mocno dyskusyjne przekonanie o możliwości uniknięcia klęski 13 Grudnia przy bardziej umiarkowanym kursie "Solidarności".

Autor "Traktatu o gnidach" krytykuje środowiska lewicowe za ich postawę wobec Prymasa Polski, którą to postawę utożsamia z ich stosunkiem do Kościoła. Faktem jest, że niezależna lewica nie składa deklaracji w rodzaju tej, że kardynał Glemp jest "wybitnym mężem stanu" /Polityka Polska nr 5/ i dobrze, ponieważ tego rodzaju deklaracje redakcyjne, a więc w jakimś sensie oficjalne, uniemożliwiają rzeczową dyskusję nad polityką Prymasa. Lewica ma rację, gdy chce ocenić polityczną działalność Prymasa bez taryfy ulgowej, z tym, że wtedy po-

winna pamiętać o całym skomplikowaniu problemu. Sądzę, że lewica dobrze służy sprawie wolności słowa, a i sprawie polskiej, nie stosując w tych zagadnieniach autocenzury, odwrotnie niż to robi prawica. Sądzę też, że niektóre wypowiedzi i prawdopodobnie niektóre decyzje Prymasa /prawdopodobnie, bo nie mamy wglądu w mechanizmy podejmowania tych decyzji/ są nierozważne. Krytyka lewicy gra tutaj rolę taką, jaką w normalnym kraju odgrywa opinia publiczna. Wierzbicki pisząc o tych sprawach używa jednak określeń, które sugerują prowadzenie przez lewicę systematycznej i centralnie sterowanej nagonki - oczywiście o piczym podobnym nie ma mowy, poszczególne tytuły prasowe i poszczególne komórki "S" dysponują dużą niezależnością od centrum. Że się w wielu ocenach polityki Prymasa zgadzają, to wynik przyjęcia podobnej hierarchii wartości, ale przyjęcia dobrowolnego, nie zaś pisanis na rozkaz centrali. Ponadto, o ile prawdą jest krytyczny stosunek lewicy do Prymasa, o tyle politykę Kościoła en gros lewica ocenia w zasadzie przychylnie, zresztą nieraz blisko z nim współpracuje. Tymczasem Wierzbicki rozumuje tak: lewica krytykuje Prymasa, a więc krytykuje Kościół. Poważne to nieporozumienie.

Powiedzmy jeszcze o sposobie, w jaki Wierzbicki referuje stosunek lewicy do kwestii żydowskiej. Uważam, że lewica nie ma w tej dziedzinie czystego sumienia, że w swojej publicystyce często omijała problem budując tym samym pewne tabu, którego naruszenie nie przystoi rzekomo ludziom dobrze wychowanym. Lewicowa historiografia, a raczej jej próby, fragmenty, rzeczywiście pisze o okresie 1944-56 jak o czasie, na którego generalną ocenę nie bardzo można sobie pozwolić, a jeśli już, to trzeba raczej tę ocenę relatywizować uwzględniając okoliczności łagodzące. Ta sama lewicowa publicystyka historyczna jest natomiast bardzo zasadnicza w ocenie ludzkich postaw w naszej historii popaździernikowej, a rok 1968 zdaje się widzieć jako apogeum upodlenia narodu. Otóż nie negując wyjątkowej ohydy moczarowskiego antysemityzmu, trzeba opisując czterdziestolecie PRL sprawiedliwie wyważać proporcje - tego lewica nie chciała czy nie potrafiła dotąd zrobić. Ale z kolei Wierzbicki przesadza pisząc: "Postawa ta /t.j. lewicy - M.Z./ polega na tym, że stosunek poszczególnych osób, grup, formacji ideowych do owej kwestii traktowany jest jako główne, nadrzędne, ważniejsze od wszystkich pozostałych kryterium w ich ocenie, zaś partykularny interes mniejszości żydowskiej lub grupy Polaków żydowskiego pochodzenia uzyskuje rangę wyższą zarówno od innych interesów partykularnych, jak od interesu całego społeczeństwa". Zdanie to brzmi fałszywie, ponieważ dezinformuje co do istnienia w Polsce "mniejszości żydowskiej". Dziś takowej po prostu nie ma w odróżnieniu od okresu międzywojennego czy - w dużo mniejszym stopniu - lat 1944-68. Żyją wśród nas, w kraju, na emigracji, nieliczni Polscy żydowskiego pochodzenia, ale w zasadzie wszyscy oni czują się Polakami. Kto nie czuł się Polakiem, ten powinien już zdążyć stąd wyjechać, szczególnie po Marcu. Adam Michnik czy Seweryn Blumsztajn swoim zaangażowaniem w sprawę polskie przewyższają wielokrotnie przeciętne zaangażowanie rodowitego Polaka. Jeśli jest jakiś "partykularny interes mniejszości żydowskiej", to chyba tylko taki, by w naszej pisanej historii jej ojcowie nie byli zbyt mocno eksponowani jako funkcjonariusze MBP. Tego interesu akceptować nie należy, innych interesów sprzecznych z interesami rodowitych Polaków po prostu nie ma. Dlatego Wierzbicki nieco w tej sprawie chybia celu.

■ ■ ■

O ile negatywnym bohaterem książki Wierzbickiego jest lewica, o tyle bohaterem pozytywnym - prawica. Lewica dzisiejsza /tzn. po 13 Grudnia/ jest słusznie krytykowana za kierowanie się emocjami i resentymentami, za błędy analizy politycznej, za utrzymywanie łatwych iluzji odnośnie gospodarki. Rzeczywiście można tu lewicę postawić szereg uza-

sadnionych zarzutów i Wierzbicki robi to a uogólnia stwierdzając, że lewica pomiała ale systematycznie traci polityczny kapitał "Solidarności". Powstaje jednak pytanie, czy możliwa jest taka polityka w oparciu o masowy ruch społeczny, która pozwalałaby ten kapitał zachować.

Czy w ogóle jakkolwiek działalność masowa ma dzisiaj szanse politycznej skuteczności? Wierzbicki chwali pravicę, ale nie mówi jakiego wyboru ona dokonała. A wyborem tym jest wycofanie się z zaangażowania w "S". Nie myślę, by takie wycofanie się było dla polityka rzeczą wstydliwą. Ale jeśli się już na nie decydujemy w przeświadczeniu, że działalność masowa nie ma dziś realnej perspektywy, to krytykując tych, co zostali, nie powinniśmy puszcać do czytelnika oka, że sami byśmy tymi masami pokierowali lepiej. Prawica może wybrać działalność kadrową /de facto/, jej działacze są w prawie, gdy świadomie nie zamierzają poświęcać swojego czasu np. na zbieranie podpisów pod listem protestacyjnym. Gonią jednak w piętkę, gdy w imię tych zrozumiałych założeń nie chcą takiego listu sami podpisać i robią z tego problem polityczny /sic!/- bo i takie przypadki się niestety zdarzają. Motywem tego zaniechania nie jest wtedy strach, tylko względy polityczne: ciasno pojęta troaka o konieczne odróżnianie się od taktyki lewicy.

Nieprzypadkowo podają ten przykład, jest on bowiem ilustracją szerszego problemu. Prawica słusznie krytykuje lewicę za nieskuteczność jej działań w ramach "S". Sama jednak nie potrafi zaproponować, jak na razie, nic, co mogłoby tę skuteczność zwiększyć. Z czystej złośliwości wobec konkurenta bojkotuje natomiast nie raz te akcje lewicy, które - jakkolwiek nie obliczone na skuteczność - nie niosą ze sobą omal żadnego zagrożenia uczestników, a więc nie podpadają pod zarzut o niepotrzebnym narażaniu ludzi na represje. Prawica ma zarysy programu na Polskę niepodległą, ale jest podobnie jak lewica bezradna wobec pytania "jak skutecznie dzisiaj tę niepodległość przybliżyć?".

Tak więc wobec pytań w "sprawie polskiej" zasadniczych wszyscy jesteśmy bezradni, tak samo ci z lewej, jak i ci z prawej strony przyszłego wolnego Sejmu. Czy więc w ogóle takie podziały czemuś służą? Myślę, że tak, bo jakkolwiek masowe niezależne życie polityczne jest i pozostanie kałużowe, to wzbogacamy je o nowy element, jaki jest faktyczne, a nie tylko deklaratywne jak dotychczas, uznanie pluralizmu politycznego. Co prawda samo w sobie nie przybliży nas do niepodległości, ani nawet jakiegos radykalnego poszerzenia zakresu swobód na miarę lat 1980-81. Jest to instrument, z którego na razie korzystamy w niewielkim stopniu, ale w przyszłości, w czasie przełomu, okaże się on bardzo przydatny, pod warunkiem, że ten pluralizm nie będzie antagonizmem wrogich, zwalczających się obozów.

"Myśli staroświeckiego Polaka" są w moim przekonaniu - mimo pewnych, nie raz poważnych uchybień - głosem na rzecz ukształtowania się w Polsce zdrowego, dwubiegunowego modelu opozycji politycznej. Piotr Wierzbicki, z którym się tu w pełni zgadzam, uzasadnia go tak: "Współistnienie formacji lewicowej w zróżnicowanym krajoznazie politycznym polskiego społeczeństwa jest niezbędne. Lewica zapadła na chorobę własnego monopolu. Prawica w tę chorobę wpadać nie powinna i gdyby lewica zechciała pewnego dnia zwinąć manatki, to niech ją gwałtem na powierzchni życia przytrzyma, bo lewica, lewica niemonopolistyczna, nie zagarniająca wszystko, lecz lewica współistniejąca z innymi jest Polsce potrzebna, stanowi pożyteczną przeciwwagę dla skrajności i grzechów prawicy, domieszką kosmopolityzmu neutralizuje jej krajową zaściankowość, tradycją proegalistyczną miarkuje rozbuchaną pogoń za pieniądzem, przywiązaniem do demokracji miarkuje zapędy "silnych ludzi"".

MATEUSZ ZAWIEJA

■ ■ ■

Stosunek redakcji do dziełka Pana Wierzbickiego jest zgodny z tym, co napisał w Kulturze /październik 1985/ Gustaw Herling-Grudziński. Cytujemy:

"Przeczytałem właśnie broszurę Piotra Wierzbickiego "Myśli staroświeckiego Polaka", coś w rodzaju prawicowego manifestu polskiego "sacro egoismo". Nacjonalizm /oczywiście "zdrowy"/ jest w niej przeciwstawiony... kosmopolityzmowi. Kto więc w Polsce nie czuje się nacjonalistą, staje się siłą rzeczy kosmopolitą. Zadaję sobie pytanie, czy "staroświecki" autor tego przeciwstawienia pomyślał w swoich rozgorączkowanych tyradach, że jest ono typowo sowieckie. Z tą jedynie różnicą, że sowiecki imperialny nacjonalizm - skoro istnieje "naród sowiecki" - występuje pod postacią "sowieckiego patriotyzmu". Kto nie jest sowieckim patriotą, staje się automatycznie kosmopolitą. Osobliwa forma walki "staroświeckich Polaków" o suwerenność narodową i państwową! Bierze prawie ochota uwierzyć na chwilę, że Moskwa dojrzy wśród nich rzeczywiście partnerów do porozumienia ponad głowami nowoczesnych /lecz bezużytecznych/ komunistów polskich!"

LEGENDA O ŚWIĘTYM JERZYM

Naprawdę
to święty Jerzy
wcale nie taki straszny
jakim go malują
w naszych strasznych czasach

Co roku
w wigilijny wieczór
swoim zwyczajem
zsiada z konia
zdejmuje starą zbroję
i dopiero wtedy
szykuje się do boju

A kiedy
wszystko jest już związane
na ostatni guzik
sutanny
bierze opłatek
i wychodzi
prostować Panu drogi
w ślepe zaułki
serc
spotykanych po drodze
ludzi

Po lodzie po wodzie
mijając patrole
łamie się opłatkami
przełamuje wrogość
zziębniętych najemników
mocarstwa ciemności

I dopiero o świcie
wielce utrudzony
przystaje przed stajenką
słyszając jak z daleka
strażnicy odwołują
godzinę policyjną

TADEUSZ SZYMA

Wiersz opublikowany został w "Tygodniku Powszechnym", ale bez ostatniej zwrotki, która została skreślona przez cenzurę.

APOSTOŁKA CZYNU

"Przeszłość - to jest dziś, tylko cokolwiek dalej;
Za kołsmi to wieś,
Nie jakieś tam coś, gdzieś,
Gdzie nigdy ludzie nie bywali!..."

C.K.Norwid

Od końca XVIII wieku o polskim parlamentarystyce mówi się zazwyczaj z pewnym wahaniem i zażenowaniem. Zawstyżenie owo jest jakoś uzasadnione. Wszak i naszych przodków tragicznie przeżywających zagładę swego państwa, i ich potomków żyjących w ciemnościach zaborów, i dzisiaj nas, nas borykających się z brakiem narodowej, apolitycznej i politycznej podmiotowości - straszy wyzierające z pomroku dziejów liberum veto.

Współcześni władcy Polski podtrzymują te nastroje. Starają się utrwalić przeświadczenie, że nasza ojczyzna była zgangrenowana anarchią od zarania swej państwowości, a na pewno już od czasów jagiellońskich; dopiero w latach 1944-1945 wkroczyła na drogę politycznej dojrzałości. Ostatecznym celem takiej indoktrynacji, uprawianej z uporem od lat ponad czterdziestu, jest zniekształcenie narodowej tradycji albo - co niemniej groźne - zepchnięcie wiedzy o niej w głębiny nieświadomości.

Te zabiegi znajdują już, jak się wydaje, jakiś rezonans. Często bezmyślna chęć "bycia nowoczesnym" sprawia, że beztrudno lekceważy się te zjawiska historyczne, które niby tej nowoczesności zaprzeczają. Znana to prawda, i nie potrzeba jej tu omawiać, że naród pozbawiony solidnej, to znaczy wspartej na wiedzy o swych dziejowych doświadczeniach, tożsamości po prostu dziczeje. Ileż już tej dzikości w społeczeństwie! A przede wszystkim jak bardzo zdziaczała władza Polski Ludowej, która sama, dobrowolnie, za beneficja szczydrze płynące z Kremła, tożsamości narodowej już się wyrzekła.

Tymczasem ów polski /czy jednak tylko polski...?/ upiór liberum veto wcale taki monolityczny i demoniczny nie jest!) . A przede wszystkim

1) Opinie o liberum veto w naszej historiografii i piśmarstwie filozoficznym są wieloznaczne. Pierwszy polski nowoczesny historyk - Joachim Lelewel - bynajmniej nie w tej ułomności parlamentarnej upatrywał przyczynę rozkładu i Rzeczypospolitej, a jedynie /sic!/ w niesprawiedliwości społecznej; w tym nade wszystko, że polscy, litewscy, ruscy i niemieccy mieszcianie nie mieli - aż do Konatytyucji 3 Maja /a i tam w bardzo wąskim zakresie/ żadnych praw politycznych, zaś polsko-litewsko-ruskie chłopstwo częstokroć nawet ludzkich. I doprawdy, tragiczne były skutki tej wielowekowej dyskryminacji mas ludowych. Chłopi nie mieli aż do schyłku minionego wieku poczucia narodowej tożsamości. Czy trzeba przypominać główną przyczynę klęski Powstania Listopadowego? Stanisław Piłgosiński wspomina, że polskość nie nauczył go dom rodzinny. Toteż - mówiąc na uboczu - zdumiewać powinna chłopska aktywność polityczna w Polsce przedrewolucyjnej. W kilku dziesięcioleciach polski chłop stał się świadomym patriotą i dziś polskośći strzeże jak ostatniego bastionu wolności.

Wracając jednak do liberum veto, które nie było aktem prawnym a sui generis obyczajem sejmowym; obyczajem, niestety, do połowy XVII w. tak trwałym, jakby był "prewem". W drugiej połowie XVII stulecia znalazło nie byle jakiego obrońcę - Andrzeja Maksymiliana Fredrę. W jego zacińskich rozprawach argumentacje są jednakże tyleż idealistyczne co

kim nie jest jedynym, chyba nawet nie głównym, wątkiem tradycji polskiego parlamentaryzmu. Owszem, jej jakimś ważnym, bynajmniej nie najważniejszym, acz na pewno ponurym, składnikiem. Mówienie tedy o polskiej tradycji państwowo-polityczno-parlamentarnej wyłącznie w kategoriach liberum veto jest żalonym nonsensem, a każde głupstwo, kiedy staje się narzędziem propagandy, ulega przepoczwarczeniu - w kłamstwo.

Po raz pierwszy liberum veto zawikłało nasze dzieje w 1652 roku, a przecież Rzplita konstytucyjno-parlamentarna istniała od lat siedemdziesiątych poprzedniego stulecia. W tym właśnie czasie powstały i utrwały się obyczaje polityczne, które dziś - po z górą czterech wiekach - można i powinno się uznać za pewien zespół wartości. Wartości utwierdzających w słuszności przyjętych antypaństwowych postaw; afirmujących p r a w o ś ć dążeń do odzyskania narodowej, społecznej i politycznej podmiotowości.

Twierdzę z całym przekonaniem, że SOLIDARNOŚĆ nawiązała - świadomie czy bezwiednie, to nieważne - do tej tradycji polskiego parlamentaryzmu. I dlatego wydała na siebie wyrok śmierci. Przecież w tym ustroju władza nigdy nie zgodzi się na społeczną kontrolę swoich poczynań. Zgoda taka byłaby bowiem równoczesna z jej zagładą.

To nie mit, przynajmniej: nie tylko mit, że Polacy mają "instykt wolności" 2) . Jakie były główne źródła spontanicznego akcesu prawie

naiwne. Wszelako nieśmieszne. Zapytajmy tu bowiem, czym kierowali się stali przedstawiciele Rady Bezpieczeństwa ONZ - idealizmem czy raczej wyrachowaniem, by nie rzec dobitniej: politycznym cynizmem? Wyklęte w naszych dziejach veto odezwało się po ostatniej wojnie złowrogim chichotem. Teraz odeń zależy los już nie tylko kilku państw, ale całej cywilizacji. Paweł Jasienica pisząc o tym absurdalnym zjawisku skonstetował aarkastycznie, że nawet groźba nuklearnej samozagłady nie uczy ludzkości rozumu.

Mickiewiczowski osąd był co najmniej ambiwalentny. Z jednej wszak strony wykładowca z Collège de France liberum veto uznawał za przyczynę rozszalałej anarchii, z drugiej natomiast - podobnie jak siedemnastowieczny Fredro - widział w nim przejaw dziejotwórczej roli wybitnych jednostek. W pewnym stopniu analogiczne przekonania wycierają z systemów filozoficznych nawet najwybitniejszych polskich filozofów mesjanistów. A nadto - czyż nieporadne rządy parlamentarne przed przewrotem majowym nie były jakimś jego, choć nigdy niewypowiedzianym, tchnieniem?

Wreszcie z dwudziestowiecznych historiografów bodaj największy, Władysław Konopczyński, którego "Dziejów Polski nowożytnej" władza "ludowa", rzecz jasna, nie wznawia - aczkolwiek o liberum veto i wadliwości narodzonego w latach siedemdziesiątych XVI w. parlamentaryzmu polsko-litewskiego powiedział wiele gorzkich słów, to także za główne przyczyny późniejszej demoralizacji politycznej uznawał i co innego: "Przez lenistwo raczej, niż przez nieuczciwość tumaniono siebie wspaniałym gestem i pięknym frazesem, gdy na dnie duszy rozrastało się niekontrolowane świadomością sobkostwo /.../. Na podłożu sielskiego, ziemiańskiego żywota, w przestworzach wschodnich, przy ekstensywnej gospodarce, wśród bezmiaru pól, gajów i wód rozwinęła się iście polska beztroska i obojętność na wszystko, co nie zagraża wprost naszemu domowemu szczęściu /.../ Rozrzedzona ludność żyła jakby jskąś rozrzedzoną kulturą /.../ Nazywając rzeczy po imieniu - rozwinęło się l e n i s t w o i niedbalstwo; z kolei przyszły wojny dzikie, niczące, z nieprzyjacielem na ogół niższym kulturalnie - Moskałem, Turkim, Tarem, Kozakiem. Wojna w ogóle nie jest szkołą pracy kulturalnej, a tym bardziej taka wojna, w której od przeciwnika niczego nie można się nauczyć". /Dzieje Polski nowożytnej, Warszawa 1936, t.I, s. 276/.

2) Zresztą, jak wiemy, pierwszym, który posłużył się tym określeniem

dziesięciu milionów do SOLIDARNOŚCI? Dlaczego w innych państwach i narodach spod sowieckiej hegemonii t a k m a s o w o nie upomniano się jeszcze do wdeptane w błoto prawa obywatelskie i ludzkie?

Czy więc palingeneza owego niezwykłego zjawiska narodzonego w sierpniu 1980 roku nie jest "de non praestanda oboedientia" - spostołka SOLIDARNOSCIOWEGO CZYNU, imperatyw dzisiejszej walki, ów właśnie od-ruch obywatelskiej wolności?

Tę retoryczne i nadmiernie ogólne pytania domagają się, by nie być tylko pretensjonalnymi figurami stylistycznymi, jakiegoś, choćby dyskusyjnego, rozwinięcia. A zatem:

Państwo polskie wkroczyło w erę nowożytną z pewnym, powiedziałbym, balastem, którego pozbyła się już była większość ówczesnych krajów chrześcijańskiej cywilizacji: z niezwykłym, jak na normę europejską, zróżnicowaniem etniczno-narodowym i autonomiami wielu ziem czy narodów. Była to niewątpliwie schoda po Średnich Wiekach.

Początki XVI stulecia to czas powstawania państw narodo-jednorodnych i zcentralizowanych, to znaczy rządzonych despotycznie /dziś powiedzielibyśmy: autorytarnie/. Dawne księstwa udzielne, niepodległości takich czy innych regionów stawały się anachronizmem, co jednak wcale nie oznacza, że od razu traciły swój byt. Rzesza niemiecka w takim "rozbiściu" trwała do drugiej połowy XIX wieku ³⁾. W pierwszych wiekach nowożytności istniały też państwa-miasta; niektóre - jak na przykład Gdańsk czy miasta-państwa włoskie /a wśród nich przede wszystkim Republika Wenecka/ - miały nawet quasi-konstytucje i ustroje w jakimś sensie parlamentarne.

Państwa liczące się jako podmioty polityczne były jednak kierowane przez monarchów, którzy z nikim nie chcieli dzielić się władzą, a jeżeli zechcieli - to jedynie pozornie /tytułem przypomniała: relacje król-parlament-poddani w Anglii i Francji/. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że w krajach takich - a były one cywilizacyjnie od nas starsze: Francja, Anglia, Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego ⁴⁾ /współcześnie: Austria/ - równocześnie z ich krzepnięciem rósł, i było to - jakby można mniemać - logiczne następstwo tego procesu dziejowego, monarchy absolutyzm. Kaprysy królewskie /czy kaprysy cesarza/ niejednokrotnie łamały moralnie i fizycznie poddanych, traktowanych jak "własność" panującego.

Przykłady Anglii Henryka VIII, Francji, Niemiec habsburskich, walczących z sobą kająkat wioakich czy niemieckich, wreszcie nowo powstałego Wielkiego Księstwa Moskiewskiego Iwanów Kality, Srogiego i Groźnego, budziły w narodach zamieszkujących ziemie od Warty do Dźwiny i Dniepru moralną odrazę. Polacy, Litwini, Rusini i niemieccy poddani króla polskiego już w początkach XV w. przywykli do rządów, powiedzmy w uproszczeniu, "łagodnych". Stare, to jest średniowieczne zasady stanowienia z królem o takich czy innych kwestiach tutaj, w tym nadar rozległym państwie, nadal były powabne. Cóż - jednak średniowiecze skończyło się definitywnie, Polska znalazła się tedy niejako w spię-

w swej d z i a ł a l n o ś c i p o l i t y c z n e j /mniejsza tu, jak ją oceniać/, był Józef Piłsudski /Dmowski używał innych pojęć: wyższość kulturalna, atawizm etniczny etc./. Przedtem o umiłowaniu wolności jako domniemanej podstawowej cnotce narodu mówili raczej poci i filozofowie. A ludzie czynu odwoływali się do tych wartości, jakby były one "obiektywne" - organizując konspiracje niepodległościowe i wszczynając powstania.

3) Aczkolwiek Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, rządzone przez Habsburgów właśnie autorytarnie, robiło wszystko, aby ową Rzeazę zjednoczyć pod swym berłem. Europa miała to szczęście, że niemiecki zwarty kolos państwowy powstał dopiero po wojnie francusko-pruskiej, a miała to nieszczęście, że ten kolos właśnie się nsrodził, i to zdominowany przez Prusy.

ciu alternatywy: albo pozostanie państwem na poły średniowiecznym, a więc zapóźnionym, albo stworzy nowy typ organizacji politycznej odpowiadającej umysłowości ludzi wczesnych lat nowożytności - ludzi już posługujących się drukiem, przemierzających Atlantyk i wadzących się o kopernikowski system heliocentryczny.

Zadanie to było o tyle skomplikowane, że - jakeśmy powiedzieli - przykłady krajów zschodnich, a tym bardziej wschodniego sąsiada, nie zachęcały do oddania monarcha peñni czy prawie peñni władzy; na domiar poddanymi byli tu zarówno Polacy, Litwini /dziś powiedzielibyśmy: Bałtowie/, Rusini i Niemcy⁵⁾, nie zamierzający bynajmniej zrezygnować ze swego poczucia narodowej /współcześnie: etnicznej/ odmienności.

Iatotą przeobrażeń, jakie dokonały się w państwie polskim a wrychle polako-litewskim, była - jeśli można tak powiedzieć - materializacja dwu wzajemnie warunkujących się idei: równości i wolności. Naturalnie, aby uchronić się przed anachronizmem - nie w sensie współczesnym. Miała to być bowiem "równość" i "wolność" jednego tylko stanu. Pozostałe warstwy /stany/ społeczne: mieszczenie i chłopci - nie mogli z nich korzystać, nie tylko w Rzeczypospolitej. Wszędzie, we wszystkich państwach naszej cywilizacji dostęp do instytucji państwowo-politycznych mieszczen i chłopów był w owym czasie mniej czy bardziej ograniczony. U nas, nie licząc Moskwy, najbardziej - wręcz patologicznie ograniczony. Jest to wszakże zupełnie inny dylemat i jako taki wykracza poza niniejsze deliberacje.

W Polsce, a wkrótce w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, idee wolności i równości ataly się w rzeczy samej, by tak upraszczająco ująć, wartościami wymiernymi. "Równy" był każdy herbowy, to znaczy szlachcic; równy wobec innego "pana brata", choćby tamten przewyższał go fortuną; "równy" i "wolny" /acz ograniczony prawami, które współtworzył/ wobec urzędnika państwowego /starosty i wojewody/ i "równy" w swoisty sposób wobec monarchy, chociaż mu posłuszny, w granicach prawa, dlatego, że w jego tworzeniu uczestniczył. Rzeczypospolita oficjalnie, p r a w n i e, po roku 1569 /po unijnym aejmie w Lublinie/ odrzuciła - z wyjątkiem kilku - tytuły arystokratyczne, gdyż były one w mniemaniu "równych" i "wolnych" obywateli zaprzeczeniem idei egalitaryzmu⁶⁾.

To, co dokonało się nad Wisłą w latach 1569-1572-1573, nie miało w historii naszego kontynentu żadnego precedensu. Owszem, miało p o w t ó r z e n i e - w Anglii w połowie następnego stulecia, po przewrocie Cromwellovskim /a i to dość nietrwale/; w Stanach Zjednoczonych Ameryki w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XVIII w. i w osiemnastowiecznej rewolucyjnej Francji.

4) Cóż za anachronizm. Trzeba było dopiero Napoleona, aby położyć mu kres. Jak długo mogą trwać pewne absurdalne zjawiska historyczne...

5) Nie mówiąc o Żydach, którzy - oczywiście - jako nieherbowi żadnych praw obywatelskich ani w Rzeczypospolitej tego czasu, ani nigdzie w Europie nie mieli. Poddanymi króla polakiego i w.ks.litewskiego byli w tym sensie, że monarcha ten był ostateczną instancją w ich sporach ze szlachtą oraz żydovskiego /autonomicznego / sądownictwa. Nawet takiej "opieki" izraelici w innych krajach nie mieli.

6) Polscy hrabiowie w liczbie nadzwyczajnej pojawiać się zaczęli dopiero od schyłku osiemnastego wieku i początku następnego, kiedy tytuły te magnaci - z wyjątkiem kilku rodów, jakie w Rzplitej nazywano "starożytnymi" - kupowali od monarchów zachodnich, zwłaszcza Habsburgów. Kupowali naturalnie i wcześniej, wszelako wtenczas dokumenty skrętnie przechowywali w skrzyniach, nie afiszowali się nimi, aby nie drażnić mas szlacheckich nie uznających przecież - z pobudek ideowych - tego rodzaju splendorów.

Ostatnim doniosłym czynem Zygmunta Augusta, który raczej stronił od polityki woląc zaprzętać umysł i energię sztuką /któż by nie wolał/ było doprowadzenie do ścisłej unii między Polską, urzędowo odąd zwaną Koroną, a Wielkim Księstwem Litewskim. Unia ta zawarta w 1569 nawiązywała wprawdzie do wzorów średniowiecznych, ale je zarazem unowocześniała. Stała się tedy zaczątkiem nowoczesnych federacji narodów i państwa, takich jak późniejsze Austro-Węgry czy, w pewnym sensie, i Wielka Brytania /Anglia-Szkocja-Irlandia/, Stany Zjednoczone czy nawet Republika Federalna Niemiec /inna rzecz, że tu istotną rolę odgrywa prawie sześćsetletnie doświadczenie "rzeszy"/. 1)

Lecz monarcha ten - dalej mowa o Zygmuncie Auguście - fatalnie zaniedbał konieczności zorganizowania nowego, zgodnego z duchem nowożytnych czasów i umysłową tudzież obywatelską potrzebą swych poddanych, ładu państwowego. Toteż gdy umarł bezpotomnie w roku 1572, szlachta polsko-litewska, zrównana już całkowicie w sensie prawno-politycznym, znalazła się w impasie. Nie było innego wyjścia - trzeba było nowego króla wybrać. Wybierano już wcześniej, lecz teraz elekcja stawała się o wiele trudniejsza, albowiem późnośredniowieczne wzory nie nadawały się do nowej rzeczywistości, a nade wszystko nie mieściły się w demokratycznych i obywatelskich aspiracjach szlachty.

Kogo i jak wybrać, gdy całym krajem i Europą wstrząsały dramatyczne religijne spory? W wielu krajach, i to bardziej cywilizacyjnie rozwiniętych, łała się bratnią krew. Katolicy nienawidzili dysydentów, którym Sobór Trydencki wypowiedział zdecydowaną walkę, często-kroć zapominając o pryncypiach etyki chrześcijańskiej. Protestanci natomiast uznawali papieża za antychrysta, a "papistów" tępił ogień i mieczem.

W Rzplitej trzeba było najpierw zgody. Jakoż doszło do niej najpierw w Sandomierzu /przeszła do historii pod nazwą Zgody Sandomierskiej/. W roku następnym zwołano w Warszawie konfederację /czyli, jakbyśmy to dziś powiedzieli, walny zjazd obywateli/. I tam już w formule spisanej, niejako "konstytucyjnej" /zresztą nasi przodkowie tego rodzaju uchwały nazywali "konstytucjami"/ 28 stycznia ogłoszono, że żadne odmienności religii nie mają w życiu państwowym jakiegokolwiek znaczenia 8).

Lecz była to dopiero połowa pokonanych trudności. Kraj wciąż nie miał monarchy. Bezkrólewie niebezpiecznie się przeciągało. Lada moment i cała państwowa budowla mogła lec w gruzy. Na południu czymał zaborczy Habsburg, ze wschodu groził zalew barbarzyństwa; na północy o żywnych ziemiach polskiego Pomorza i Kujaw zamyśliwali władcy Brandenburgii i Szwedzi; a na południowym wschodzie nieustannie żarzył się turecko-tatarski ogień, który w każdej chwili mógł ogarnąć płomieniam nie tylko całą Rzeczpospolitą, ale i co najmniej pół Europy. Jakiego zatem i jak króla wybrać? 9)

7) Temat federacji narodów polskiego i litewskiego, a także późniejszej ratyfikowanej przez sejm a tragicznie zniweczonyj federacji tych narodów z narodem ruskim - jest zjawiskiem samym w sobie tak rozległym, że zasługiwałoby na oddzielne podjęcie. Tu natomiast musi być zaniechany.

8) Konfederacja Warszawska, a raczej jej uchwały, były na kontynencie jedynym takim aktem prawnym zapewniającym wolność wyznania i - jak twierdzą niektórzy historycy - nawet sumienia. Realizowano w ten sposób owe idee "wolności" i "równości" w imię wartości nadrzędnych - co zresztą explicite wyrażano - chrześcijańskich, osobliwie tu nad Wisłą skorelowanych z polsko-litewską racją stanu. Szerzej o tym może przy innej okazji.

9) Dlaczego wybrano Henryka de Valois, zwanego z polską Walezyją - dość łatwo wyjaśnić i obronić naszych przodków przed zarzutami niektórych historyków, że wybór ich był niewłaściwy. Trudniej natomiast roz-

W tym wirze i niepokoju wypłynęła niepospolita postać Jana Zamojskiego, byłego studenta uniwersytetu padewskiego. Zdołał on wokół swojej idei skonsolidować ogół postępowej szlachty, której zresztą był wyrazicielem.

Zanim wybrano nowego władcę, opracowano "konstytucję", przemieniającą faktycznie Rzeczpospolitą Obojga Narodów w monarchię parlamentarną - i to - twierdzą bez wahania - bardziej parlamentarną niż Anglia.

"Konstytucja"owa¹⁰⁾ składała się z dwóch oddzielnych, lecz skorelowanych aktów prawnych: pactów conventów i artykułów henrykowskich. Treść pierwszych była modyfikowana przy wyborze kolejnych monarchów. Drugich pozostawała - abstrahując od wprowadzanych uchwałami sejmowymi poprawek, których wszakże w ponad dwusetletniej historii artykułów henrykowskich nie było tak dużo - niezmienna. Niezmienna aż do Konstytucji Trzeciego Maja, praktycznie przekształcającej ustrój polityczny, a więc tworzącej Drugą Rzeczpospolitą /trwała ona do drugiego, a właściwie, lecz w paroksyzmach krwawych walk o zachowanie niepodległości tego nowego państwa - do trzeciego rozbioru/.

W nich, w pactach konwentach i artykułach henrykowskich, znalazły się postanowienia konfederacji warszawskiej o tolerancji religijnej, wszystkie bez mała ważniejsze przywileje szlacheckie, a więc: "neminem captivabimus" /o niewzięciu bez sądów/, "nihil novi" /o niemożliwości stanowienia czegokolwiek bez zgody izb sejmowych/ etc. Co ważniejsze jednak - wprowadzono nowy artykuł zaczynający się od słów "de non praestanda oboedientia", który dawał obywatelom prawo wypowiedzenia królowi posłuszeństwa, jeśliby ów postępował niepraworządnie, to jest niezgodnie z ową skodyfikowaną w obu dokumentach ustawą.

Owe "konstytucje" przedstawiane były każdemu nowo obranemu królowi, który na nie przysięgał. Dopiero potem na wierność i posłuszeństwo praworządnie wybranemu monarsze przysięgali obywatele. Odtąd już wszyscy królowie - do Stanisława Augusta włącznie - przysięgi takie składali. Od tego też czasu król stawał się de facto, mówiąc współczesnym językiem, wybieralnym prezydentem, jednak z powagą majestatu, której nikt nie myślał kwestionować; przeciwnie - im bardziej król był pętany decyzjami sejmu, tym bardziej czczone jego majestat jako "małżonka Rzeczypospolitej i strażnika jej praw" - jak to w owych czasach nie bez uroku mawiano. Dokonała się tedy rzecz niezwykła - nie tylko zresztą na miarę szesnastego stulecia. Oto obywatele /szlachta/ wybierali władzę i władzy tej przedstawiali warunki jej sprawowania. Jeśli któraś z umawiających się stron umowy nie dotrzymałaby - głosiły artykuły henrykowskie w "de non praestanda oboedientia" - można ją było rozwiązać. Wszelako - j a k? Jeśli chodzi o wyborców, mogli oni po prostu odmówić posłuszeństwa. W praktyce politycznej nie wyglądało to jednak tak prosto, nigdy bowiem łatwo nie usuwa się władzy, która nader rzadko widząc niezadowolone społeczeństwo dobrowolnie ustępuje.

Dwa razy w czasach świetności Rzplitej część poddanych odmówiła swej lojalności. Na początku siedemnastego wieku wszczynając pod wodzą Mikołaja Zebrzydowskiego rokosz i ponownie w latach sześćdziesiątych tegoż stulecia w rokoszu Jerzego Lubomirskiego. W obu tych sytu-

winąć drugi człon owego pytania /jak?/ i wykazać jego następstwa dziejowe, następstwa bezsprzecznie tragiczne. Trzeba by bowiem wtedy zadumać się nad istotą elekcji "virtitum" /w podręcznikach szkolnych zwanej "wolną"/, a takie refleksje rozsądziłyby niechybnie ramy niniejszej wypowiedzi.

¹⁰⁾ W pojęciu współczesnym konstytucja jest taką ustawą zasadniczą, jaka określa prawa i obowiązki obywateli oraz rządzących jednocześnie omawia trzy rodzaje władzy państwowej: ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. W tamtej, o jakiej mowa, brak było sądownictwa, podporządkowanego w ostatecznej instancji królowi czyli "szefowi" rządu. Dlatego konieczny jest cudzośłów, który jednak nie kwestionuje konstytucyjnego charakteru pactów conventów i art. henrykowskich.

acjach szlachta zaciągająca się pod antykrólewskie sztandary miała rację - Zygmunt III miał prawo; tak samo później Jan Kazimierz, podporządkowujący się u schyłku swego panowania polityce Ludwika XIV, a więc nadwładnia faktyczną niezawisłość Rzeczypospolitej. Jedynie metody walki zbrojnej o pryncypalność były i są niemoralne, toteż oba rokosze zostały siłami wojsk królewskich /w pierwszym rokoszu pod wodzą Stanisława Żółkiewskiego, należącego do opozycji antykrólewskiej; w drugim Stefana Czarnieckiego - żarliwego legalisty/ stłumione, aczkolwiek większość światłej szlachty, przede wszystkim tej walczącej z rokoszanami, przyznała polityczną rację swym zbuntowanym współbraciom. Były to bodaj dwa najtragiczniejsze wydarzenia w dziejach politycznych I Rzeczypospolitej z okresu jej wielkości, kiedy to ci, co mieli rację, zostali pokonani przez tych, którzy im tej racji nie odmawiali, a tylko kwestionowali przemoc jako instrument walki politycznej!) Warto wszakże powtórzyć i dobitnie powiedzieć, że w obu wypadkach rokoszanie wystąpili w powadze prawa - niefikcyjnego, nie ad hoc stworzonego, a skodyfikowanego kilkadziesiąt lat wcześniej i uznawanego przez wszystkich obywateli, bez względu na ich poczucie tożsamości narodowej. Szlachtę rokoszową sejmy obdarzyły później amnestią.

Tak zatem rząd z królem został podporządkowany sejmowi, w którym wyrażać się miały owe idee "równości" i "wolności", a wśród tych ostatnich najdonioślejsza - prawo do wypowiedzenia posłuszeństwa i wybrania nowej władzy. Sejmy przeto były nie tylko ciałem ustawodawczym, lecz i kontrolującym postępowanie rządu - tak jak dzisiaj we wszystkich krajach demokracji parlamentarnej i jak było w Polsce przedwrześniowej¹²⁾.

A co mógłby uczynić elekcyjny król, stwierdziwszy, że poddani nie dotrzymują umowy /posłuszeństwa/? Abdykować. Taką nieszczęsną możliwość obrał Jan Kazimierz, kiedy po stłumieniu rokoszu Lubomirskiego nadal nie mógł porozumieć się z wyborcami, albowiem nieustannie wikała Rzplita w misterne sieci polityki nadsekańskiego Króla Słońce, co oczywiście godziło w poczucie dumy państwowej szlachty polsko-litewsko-ruskiej.

Co w tym, cośmy dotychczas powiadzieli, jest najistotniejsze? To, że od roku 1573 władza w Rzeczypospolitej była wybieralna, a jej porządek poddane kontroli społecznej; i można było na mocy "de non praestanda oboedientia" odmówić jej prawa do sprawowania rządu w razie niewłaściwego postępowania. O tym, co było właściwe lub niewłaściwe, zdecydowały obie izby sejmowe, między którymi w tej kwestii dochodziło nieraz do ostrych apiej, Była to w tym czasie najlepsza i, powiedzielibyśmy, zgola już nowoczesna reifikacja poczucia /i pragnienia/ wolności obywatelskiej.

11) Jeszcze wcześniej - w latach dziewięćdziesiątych XVI w. - sejm sądził Zygmunta III za ujawnione przez wywiad Rzplitej knowania z Habsburgami i proponowanie im kprony polskiej. Król ukorzył się i zaakceptował nowe "prawo" wprowadzone do artykułów henrykowskich, że bez zgody "stanów" /obu izb sejmowych/ żaden król Polski i W.Ks.Litewski nie opuści granic państwa. Tak to panujący stawał się więźniem własnych poddanych. Zachowując konieczne proporcje można powiedzieć sarkastycznie, że ów sąd nad Zygmuntem III jakoś przypomina sąd Kongresu USA nad prezydentem Nixonem, przeprowadzony w wyniku tzw. afery "water gate".

12) Piłsudski, nie mogąc znieść bezsilności sejmu, a raczej zapobiegając groźbie zdominowania go przez endecję, miał się więc sposobu w naszej historii wcale nienowego. Przewrót majowy był przecież podobny, w swym duchu, do staropolskich rokoszy, choć wymierzony nie w króla - a w parlament i inercyjnego prezydenta...

O tym ustroju wybitna powieściopisarka, nie żyjąca od kilku lat Hanna Malewska, napisała, że "ideał był zarówno kosztowny jak kruchy, równowaga nietrwała; kultura tuż przed przekwitem, czy raczej skostnieniem /.../ trudna równowaga praworządności i publicznej wolności, wsparta w s o k ą k u l t u r ą p o l i t y c z n ą i o g ó l n ą objawi się nam naturalnie, potocznie"¹³). Władysław Konopczyński zobaczył zaś w tym fenomenie pewną, rzecz by można, ograniczoną niemożność; jak gdyby sugerował, iż w tej epoce - feudalizm - takie republikańskie aspiracje były niemożliwe do ziszczenia; jakby uznawał owe dokonania za przedczesne: "Jakkolwiek bądź z tym zasobem sił intelektualnych i moralnych, jakie mieli Polacy czasów Zamoyskiego, mogliby oni iść naprzód i wwyż, gdyby nie ich ustroj państwowy - najtrudniejszy w świecie. D e a p o t y z m n i e w y m a g a i n n y c h c n ó t p r ó z p o s ł u s z e ń s t w a , p o l s k a w o l n o ść z a ż a d a ł a r o z u m u s t a n u , o f i a r n o ść i , c z u j n o ść i o d s e t e k t y s i ę c y . T y c h s t a r - c z y ł o w j e d n y m p o k o l e n i u , z a b r a k n i e w n a s t ę p n y c h /.../ K u c z e m u k o l w i e k t a " P o l s k a s z ł a " , n a d l u d z k i c h z a d a ń , j a k i e p o s t a w i ł j e j W i e k Z ł o t y , s p e ł n i ć t a k a j a k b y ł a n i e m o g ł a . O d d e g e n e r a c j i u r a t o w a ć j ą m ó g ł y b y a l b o c u d w ł a d z y , n a r z u c a j ą c e j s i ę w o l n y m d u c h o m , a l b o j e s z c z e w i ę k s z y c u d o b y w a t e l s k i e g o w y c h o w a n i a " ¹⁴) .

Tak. Polacy, Litwini i Rusini dokonywując tak wiele, dokonali zarazem tak mało. Nie doprowadzili bowiem do końca swego dzieła. Pozostawili je otwarte aądząc, jak dosłownie powiedział to Zamoyski, że przyszłe generacje udoskonala ten system organizacji państwowej. Czyżby wielki kanclerz nie wiedział, że do tego trzeba "cudu", o jakim pisze Konopczyński - "cudu władzy narzucającej się wolnym duchom"?

"Wolny duch" - czyż to nie synonim owego wspomnianego na początku "instynktu wolności"? Dziesięć milionów Polaków w SOLIDARNOSCI - toż to właśnie jego dziejowa hipostaza. Masy te postępowały zgodnie z polską tradycją parlamentarną, w której jest niezbywalne prawo obywateli do wypowiedzenia posłuszeństwa władzy, jeżeli ta sprzeniewierza się swemu powołaniu, to znaczy własne /lub, co jest już po prostu zdradą narodową, cudze/ interesy przedkłada nad potrzeby społeczeństwa.

A jeśli ktoś powie, że "de non praeatanda oboedientia" to już legenda, odpowiedzieć można słowami Wacława Sobieskiego: "legenda chce działać u m o r a l n i a j ą c o , o n a w y p o w i a d a g r o m k i e k a z a n i a p r z e c i w z ł y m i n i e l i t o ść i o c i w y m i p r z e d s t a w i a j ą c d o d a t n i c h c z y u j e m n y c h b o h a t e r ó w w k o n t u r a c h n a d m i e r n y c h - s t a j e s i ę a p o s t o ł k ą c z y n u . U z y w a a n t y t e z , u z y w a a n a l o g i i i w s z e l k i c h s p o s o b ó w , b y ł e s ł u c h a c z y p o r w a ć i n a n i c h o d d z i a ł a ć . A ł e , a b y o d d z i a ł a ć , m u s i m i e ć j e d e n w a r u n e k - m u s i b y ć p i ę k n a . I d l a t e g o t o l e g e n d a c z a r o d z i e j s k a s t r o i s i ę w t a k n a d o b n e s z a t y p i e ś n i i p o e z j i , o p o w i a d a z t a k i m p o l o t e m w y o b r a z n i , d o b y w a z s i ę b i e w s z e l k i e j u r o d y i k r a s y , b y ł e t y l k o s w y m u r o k i e m z w a - b i ć , p o b u d z i ć " ¹⁵) .

Niech więc ta p r a w d a "de non praeatanda oboedientia" będzie zawsze taką "legendą" - apostołką czynu.

STACH OSTRÓŻKO

¹³) Hanna Malewska: Listy staropolskie z epoki Wazów. Warszawa 1977, wyd. II, ss.174, 175; podkreślenia moje

¹⁴) Władysław Konopczyński: Dzieje Polski nowożytnej. Op.cit., t.I, s. 426; podkreślenia moje

¹⁵) Wacław Sobieski: Trybun ludu szlacheckiego. Pisma historyczne. Wyboru dokonał, opracował i wstępem poprzedził Stanisław Grzybowski. Warszawa 1978, s.377; podkreślenia autora

Rumunia - narodziny Ubukaresztu

Bukareszt jest podzielony. Po drugiej stronie Dymbowicy, wąskiej rzeki, która awansowała do roli granicy pomiędzy przeszłością i przyszłością, jak okiem sięgnąć rozciąga się księżycowy krajobraz. Księżyc w dziwny sposób zalany - dla N.Ceausescu nic niemożliwego - na którym prychają zgarniarki, koparki, buldożery, pozostawiając za sobą ślady błyszczącej piany. Usadownieni w swych podwyższonych jak wawertownie kabinach kierowcy tych planetarnych pojazdów olbrzymimi mechanicznymi ramionami rozdrapują, miażdżą, równają korzenie Historii. Na krańcach budowy starsze małżeństwo, odświętnie ubrane, spogląda na jezioro błota. Ona wspiera się na nim. On trzyma jej rękę. Ich wzrok azuka domu, ulicy, na której mieszkali. Nie rozpoznają niczego i płaczą.

To Uranus - z nazwy wybrany - odtąd skazany na ciszę pustki. Dzielnica drobnych handlarzy, emerytów, intelektualistów, artystów - trochę jak Montparnasse lat trzydziestych - dyskretne odbicie rumuńskiej duszy z okresu przedwojennego. Jedna szósta starego Bukaresztu ukochanego przez Paula Moranda. Razem ze swoimi restauracjami na świeżym powietrzu, donkami z markizami, brukowanymi ulicami z ciągnącymi się wzdłuż lipami, niegdyś spokoje, podkreślonym przez gruchanie turkawek - jeszcze dzisiaj przywołuje to miasto wzniesione na wsi, które umiało sobie wyobrazić Alphonse Allais.

Czerwone trolejbuay lub gazowe autobuay zawożą wieczorem wykwaterowanych ludzi na odległe przedmieścia. Niektórzy z 40 000 wypędzonych powracają tu w niedzielę jak na pielgrzymkę, aby pomodlić się w nielicznych oszczędzonych obiektach sakralnych. Tak na przykład Anthyme, kościół bizantyński z XVIII wieku, zawdzięcza awę ocalenie jedynie faktowi, iż znajduje się na obrzeżu trasy bulwaro-autostrady. Wtopione w monotonny szereg betonowych szkieletów, Anthyme nie utraciło swych wiernych. Dwie godziny w tygodniu staje się wysepką wibrującej żarliwości polifonicznych chórów, ożywioną przez brodatego popa w świetlistych szatach, których złocenia czerwienieją w blasku świateł. Po wyjściu żadnych komentarzy. Godność i rezygnacja. Jeden z przesiedlonych parafian powie mi: "Miseria!". Jeżeli się na nich nalega, podnoszą jeden palec w kierunku nieba, później wzdychają wzruszając ramionami. Palec w kierunku nieba, to ON - nieuchronne fatum; wzruszenie ramionami, to są oni - niemoc, bezradność. To jest ich znak krzyża.

"On" /to Ceausescu, ale większość Rumunów nie określa go inaczej/ uświadomił sobie swoje powołanie budowniczego w czasie trzęsienia ziemi 4 marca 1977 roku. Tego dnia, w ciągu czterestu sekund, w samym tylko Bukareszcie 160 budynków zostało zniszczonych, 3000 mieszkań ewakuowanych, 15 000 osób dotkniętych klęską. W całym kraju 1387 zabitych, 80 000 bez dachu nad głową i 2 miliardy dolarów szkód. W dniu 25 marca w trakcie jednego ze swych niekończących się przemówień, które tak uwielbia, On przyrzekł oświetnić odnowę Bukaresztu przez "realizację centrum polityczno-administracyjnego w oryginalnym i specyficznym stylu noszącym piętno geniuszu artystycznego ludu rumuńskiego i epoki tworzenia socjalizmu w Rumunii".

Zaledwie powiedziane, prawie natychmiast wykonanie. Wkrótce po ukończeniu rekonstrukcji zniszczonych wielkich arterii /zlikwidowano już przy tym dwa lub trzy przeszkadzające kościoły/ konkretyzację projektu powierzono pannie Ance Petrescu, młodej architekt. Jej talent gwarantuje przyjaciel - Nicu Ceausescu, który jest Ministrem Młodzieży i Sportu, sekretarzem generalnym Związku Młodzieży Komunistycznej i

ułubionym synem Prezydenta. Opublikowane plany przedstawiają monumentalny kompleks przewyższający nawet najbardziej szalone realizacje słynnych dyktatorów. W głębi - należałoby raczej powiedzieć na końcu toru - ogromny jak jakaś zapora, Dom Republiki, w którym będą się znajdować: Komitet Centralny Rumuńskiej Partii Komunistycznej, Rada Państwa i rząd. Jak widać z makieły, stylem będzie przypominał raczej wał Atlantycki niż Wersal. Naprzeciw tego monstrualnego obiektu będzie plac mogący pomieścić setki tysięcy entuzjastycznych manifestantów. Do tego placu wpływać będzie, jak rzeka do oceanu, bulwar Zwycięstwa Socjalizmu, długi na 1 kilometr, szeroki na 120 metrów. Budynki od siedmiu do dziesięciu pięter - położone wzdłuż, ozdobione łukami, pilastrami, kolumnami i statunami bohaterów rumuńskich.

Ta kolosalna całość, składająca się z 5 700 apartamentów, obiektów handlowych, przychodni lekarskich, żłobka, kina i szkoły zarezerwowanej dla elity proletariackiej, zostanie stworzona w taki sposób, aby oddać "wrażenie młodości i dynamizmu". Zrasztą bulwar Młodzieży będzie się przecinał z aleją Triumfalną. Punkt przecięcia podkreślony będzie przez stojącą grupę pomników poświęconą "Zwycięstwu młodych brygadistów" /milicjanci w wieku od 15 do 30 lat/. Według organu partii i jedynego dziennika Scinteia będzie chodziło o "wspaniałe świetliste budowle, które będą świadczyły o naszej epoce głębokich, nowoczesnych przemian, będą wymownym dowodem troski naszej partii i naszego Państwa o zapewnienie ludziom pracy najlepszych warunków życia".

Budowniczy, któryż imperator nim nie był? Jakiż banalny jest dyktator szukający uwiecznienia swoich rządów poprzez pomnikowe budowle wzniesione w centrum swojej stolicy. Kłopot w tym, że przedstawiciele innych kultur mieli już przed nim zupełnie tę samą ideę. W przypadku Bukaresztu chwiejność gruntu zmniejszyła jeszcze możliwości do wykorzystania obszar. Podczas trzęsienia ziemi jedynie dzielnica Uranus, zbudowana na podstawie skalistej, okazała się odporna. Logiczne zatem, że właśnie ją spotkał zaszczyt zrównania z ziemią, aby położyć w niej możliwie głęboko fundamenty nowej ery.

Oto co zostało zrobione. Kilka kościołów, kilka pałaców, które uprzednio korzystały z solidności położenia, zostało skazanych na zagładę. Oczywiście, że obiektywnie biorąc nie chodziło o bezcenne klejnoty. Bukareszt, młoda stolica, jest daleki od posiadania takich skarbów architektury jak Praga czy Budapeszt. Rumuńscy emigranci niewątpliwie przesadzają głosząc, że zdewastowano ich Notre-Dame i Sainte-Chapelle. W centrum historycznym, gdzie gęstość kościołów ortodoksyjnych odpowiada ilości naszych posterunków policji miejskiej, nie było możliwe przedsięwzięcie renowacji urbanistycznej bez usunięcia kilku z nich. To znaczy, XVII-wieczny monaster ozdobiony freskami nie jest jednak tym samym, co Koszary Wojskowe a kościół z grobami bohaterów narodowych to nie to samo co Welodrom.

W sumie około dziesięciu budynków religijnych zostało więc zniszczonych. Uczyniono pewien wysiłek, aby przenieść niektóre z nich. Były to niestety najstarsze, o drewnianych fundamentach, które nie mogły być przesuwane. Najpoważniejszymi stratami są: kościół Alba Postavari /XVI wiek, w którym Michał Waleczny został koronowany na księcia Wołoszczyzny w 1594 roku/ oraz monaster Cotroceni /XVII wiek/. Inne, takie jak kościół i monaster Mihai Voda, w czystym stylu wołoskim, są zagrożone całkowitym przeniesieniem, bardzo ryzykownym dla ich stanu. Spośród budynków cywilnych: stare skrzydło szpitala Brancovan w stylu neoklasycyzmu, dom Dudesco-Cantacuzene /XVII w./, pałac Curtea Noua /XVIII w./ przepadły zupełnie.

Kto skorzysta jeżeli nie nomenklatura ?

Brutalność, a nawet zawziętość z jaką wykonywane były zarządzenia - świadczą o przesadzie, lekceważeniu okazywanemu w 80% ortodoksyjnym społeczeństwu, jak gdyby regulowano w ten sposób rachunki z konkuren-

cyjną wiarą. Oto przykłady: wezwanie pospolitych więźniów w sytuacji sprzeciwu robotników wobec niszczenia Alba Postavari; wezwanie armii do wyaszenia w powietrze kościoła Spirea Noua; organizowane wypadki /tu upadek belki, tam tajemnicza eksplozja/ mające doprowadzić do końca pasywny opór mieszkańców; szkoczące niszczenie kościoła Izvorul Tamaduirii kryjącego w sobie dobroczynne źródło, czasami uważane za cudowne.

Te napaści na kulturę zostały zauważone. Ale cóż powiedzieć o tym, w jaki sposób zostali potraktowani zwykli obywatele. Byli oni uprzedzani nieraz kilka dni wcześniej o burzeniu ich domu, zmuszeni do pozbywania się swoich mebli, których nie mogli zabrać ze sobą z braku ciężarówek lub z powodu niemożliwości zamieszczenia ich w ciasnych dwóch izbach wyznaczonych w jakimś peryferyjnym "ulu". To, co tutaj pełni rolę prasy, nigdy nie relacjonuje kroniki wydarzeń. Nie można zatem dokładnie określić liczby samobójstw. Tuzin jest przedstawiany jako niewielka ilość. Samobójstwo Zoe Vermont - znanej mslarki, która wolała rzucić się przez okno niż oglądać zniszczenie pracowni, w której ona i jej rodzina zawsze mieszkali - zaszokowało artystyczne środowisko stolicy. Kwota odszkodowania za wysiedlenie wyniosła 1800 lei /około 1500 franków/, co odpowiada miesięcznej pensji...

W końcu, w czasie gdy koniunktura ekonomiczna nakłada na społeczeństwo rumuńskie ciężkie ograniczenia - nędza, reglamentacja, ogrzewanie ograniczone do 16 atopni, zakaz używania swojego ssmochodu co drugą niedzielę, a nawet ostatniej zimy przez dwa miesiące - czyż było przyzwyczajeniem pokazać mu spektakl tak akandalicznego marnotrawstwa? W chwili, gdy cała Rumunia musi korzystać ze światła 40 watowego aby oszczędzać energię /mocniejsze żarówki zostały wycofane z handlu/, wychwalanie "światlistej ery" Nicolae Ceausescu jest odczuwane jak prowokacja.

Nikomun nie przyszłoby do głowy krytykowanie konieczności modernizacji w trakcie rekonstruowania, oddania do użytku metra, urbanizacji - często udanej - miast wyglądających mniej odpychająco niż wiele naszych. Ale czy naprawdę zaistniała konieczność stworzenia stalinowskiej Brasilii w sytuacji, kiedy instytucje rządowe dysponują już olbrzymimi nie zajętymi pałacami, z racji osobistego charakteru reżimu - przypisanymi niepotrzebnym organom i instytucjom. Któż, jeżeli nie nomenklatura będzie korzystał z apartamentów z widokiem na bulwar Zwycięstwa Socjalizmu? Dla jakiej racji zaangażowano się obecnie i w tym właśnie miejscu w realizację kosztownego projektu, zarówno nieodpowiedniego jak niepopularnego?

Pytania bezprzeidotowe. Racje rozumowe nie mają znaczenia w tej sprawie. Odpowiedź tkwi w naturze Księcia. Przypadek "Palca wszytkowiedzącego" /jeden z przydomków wybranych z litanii pochwalnej stworzonej przez pochlebców/ nie jest prosty. Mógłby zainteresować wielkiego Mircea Eliadego, najażnniejszego historyka religii, którego autorytet w dziedzinie mitów i symboli jest powszechnie uznawany, gdyby nia był on akurat rodakiem Ceausescu. Jest to historie niustannego wznoszenia się w górę ucnie szewca, albo o tym, w jaki sposób bardzo młody działacz komunistyczny, o wyglądzie szefa sali restauracyjnej z filmu Cayette'a, został dyrektorem generalnym kolektywistycznego przedsiębiorstwa liczącego 22 miliony pracowników.

Dyktatura Nicolae Ceausescu wydaje się pozornie akademicka. Otwarcia, układanie kamieni węgielnych czy sadzenie drzew Wolności odbywają się tem jak w Hawanie czy Santiago. Ale odbywają się one tutaj w rytmie frenetycznym. A trwa to od dwudziestu lat. "Rumunia, komunizm, Ceausescu - heroizm" ogłszszają witające w miasteczkach proporczyki. On jeździ wszędzie: na prowincję, jak i za granicę. Conducator-stachanowicz uczestniczy niustannie w paradach, wygłaszając przemówienia, przyjmując gości i przewodnicząc na kongresach. Wszystko w nim bywa komunikatem. Codziennie jego nazwisko i jego fotografia znsjdują się na

pierwszej stronie dziennika Sciateia. Jego wizerunek nie znika z telewizorów ani jego głos z programów radiowych. Kult osobowości? To zbyt mało powiedziane. Czyniąc dla Rumunii dar ze swej osoby, On zdecydował pewnego razu za wszystkich, że lud to naród; naród to partia, a partia to ON. A zatem On jest ludem. A ponieważ lud jest z definicji władzą w demokracjach ludowych, On rządzi jako władca absolutny.

Nicu, jego syn - minister Sportu, jego żona - wicepremier

Sam ale w towarzystwie. Nie tylko On; jest Ona - jego żona. "Elenakona, która nas kołysze od naszych pierwszych chwil" - ślebia jeden z oficjalnych poetów reżimu. "Ikona", ale również wicepremier i członek komitetu centralnego partii. Poza cytowanym już synem Nicu, około pięćdziesięciu braci, siostr, kuzynów i zięciów zajmuje odpowiedziane stanowiska. Rumuńska Partia Komunistyczna stała się w ten sposób sprawą rodzinną. Nie ma obawy ze strony armii. Generał Ilie Ceausescu, brat Prezydenta, jest wiceministram Obrony.

Ta wspaniała kontrola aparatu władzy pozwala mu na manifestowanie pewnej formy niezależności wobec polityki zagranicznej ZSRR. Jest ona mało niebezpieczna dla Moskwy, ponieważ w sprawach wewnętrznych zgodna jest w swej istocie z absolutnie ortodoksyjnym marksizmem.

Dworzanie dbają o rozłaczanie mu przed oczami Rumunii jego marzeń

Rozwijająca się rumagalomania prezydenta Ceausescu, jeszcze przed rozpoczęciem budowy Uranusa, znalazła sobie formę wyrazu na swoją miarę w Muzeum Historycznym. Dwanaście olbrzymich sal jest poświęconych na wystawę prezentów, które para prezydencka otrzymała podczas swoich podróży. Jest to oszupiająca graclarnia, w której sasiadują /za szkłem/ serwisy do herbaty z ozdobami, haftowane suknie z miasami, fotografie w towarzystwie wielkich tego świata, figurki drewniane, z kości, z brązu czy z marmuru przedatekujące "Tytana komunizmu", portrety pompacyjne i naiwne "Dwóch gwiazd obok siebie na niebie wieczności", zawieszona jak dziękczynne wota okazała kolekcja dyplomów, pośród których można zauważyć: doktorat honoris causa Uniwersytetu Yucatan, wielki krzyż Orderu rycerskiego San Marino, członkostwo honorowe kolegium inżynierów w Kostarice i obywatelstwo honorowe Disneylandu.

To oczywiście, że "ojciec współczesnej Rumunii" chciałby, aby go kochano. Czy mu się to udaje? W kinie, w ciemnościach jego wizerunek bywa wygwizdany. W księgarni jego dwadzieścia dwa tomy na temat "Budowanie społeczeństwa socjalistycznego wielostronnie rozwiniętego" leżą nie interesując nikogo. W muzeum, w trakcie obowiązkowego zwiedzania, uczniowie rozmawiają ścisłym głosem. Pod płaszczykami krąży śmiech i kłótnie historyjki, jak te, które swego czasu drwiły z Hitlera lub Mussoliniego.

Czy on wie o tym? Nie jest to takie pewne. Odizolowany przez dwór artystów, pisarzy, poetów, jest on zupełnie odłączony od społeczeństwa, które chce reprezentować. Publiczność starannie dobrana, entuzjizm wyuczony na pamięć, kłaka zapewniona, sklepy obfitujące w towary ułożone przed przybyciem kamer, rozkupicne wkrótce potem. Dworzanie dbają o rozłaczanie mu przed oczami, podczas przejazdów, Rumunii jego marzeń. A król jest jedynym, który nie wie, że jest nagi...

Jak wszyscy przywódcy, którzy go poprzedzili lub towarzyszą mu w galerii imper torów siły, Conducator jest opętany myślą o miejscu, jakie pozostawi po sobie w Hiatorii. Jek oni, cierpi na kompleks Cezarów. A różni się od swych kolegów dyktatorów kilkoma cechami oryginalnymi, które zasługują na uwagę. Przede wszystkim śmieje się i jest jedynym, który to robi. Ten pojedynczy wizerunek, świadomie rozpowszechniany, wskazuje na chęć ukazywania się nie jako Ojciec wszechmogący, ale jako Wielki Przyjazny Brat, superszef, harcerz, działacz wysmrzony przez Lenina do porwania swojego narodu w kierunku śpiewającego jutra. Komuni-

styczny mesjasz.

Druga osobliwość: jeżeli pokazuje się wszędzie, cały czas, to jednakże ze względu skromnością. Poza wszystkim, przy jego pozycji, mógłby jak tyłu innych ogłosić się marszałkiem, nosić błyszczące uniformy, kazać stawiać sobie pomniki lub drukować swoją podobiznę na banknotach. Nic z tego nie robi. Jego czułym punktem jest kultura. Był szewczyk, wrzucony w wieku 14 lat w walkę polityczną, spragniony jest szacunku. Jego dwie fascynacje, to: młodość i wykształcenie, których nie miał, a których pozory starannie utrzymuje.

Naród wyczerpany inwazjami, „społeczeństwo drzew”

W wieku 67 lat Nicolae Ceausescu wie, że nie ma już czasu do stracenia, jeżeli chce uwiecznić swoją chwałę. Stąd eskalacja w szaleństwo wielkości. Cóż może zrobić, co by go wyróżniło we współzawodnictwie, które poprzez wieki i granice zestawia go z Aleksandrem, Kim Ir-Senem, Stalinem czy Napoleonem? Książki? Napisał je już wszystkie. Wojna? Sytuacja geopolityczna ją uniemożliwia. Pozostaje mu, dla swego ukoronowania w wieczności, zainwestować w kamieniu. Zbudować mauzoleum na swoją miarę, Budowa Uranusa jest jego pierwszym elementem. Inne są już w trakcie lub wkrótce się rozpoczną. Nie ma miasta w Rumunii, które nie miałoby aktualnie swojej "dziury po Halach". W samym Bukareszcie, to co stanowi centrum historyczne znajduje się w zagrożeniu. Los dzielnicy żydowskiej jest zawieszony; Calasari, Cotroceni narażone są na zniknięcie.

Paradoksalnie, niszczenie stolicy rumuńskiej wywołuje więcej emocji w świecie niż w Rumunii. Należy się wystrzegać wszelkich złudzeń. Dziejsze społeczeństwo rumuńskie nie jest już takie, jakie było. Czterdzieści lat komunizmu spowodowało nieodwracalne zmiany. Niektórzy ludzie, nie mogący tego znieść, mogli opuścić ojczyznę. Inni znajdują w nim swoją korzyść /z 3,5 mln członków na 22 mln mieszkańców Rumuńska Partia Komunistyczna jest największa w Europie/. Większość znosi rzeczywistość z zadziwiającą biernością narodu wyczerpanego inwazjami, przyzwyczajonego do poddawania się przymusowi. Nowe społeczeństwo, które myśli: "Ten przynajmniej jest Rumunem". "Społeczeństwo drzew" - pisze Ana Blandiana, niezależna poetka.

„Mały Bałkański Paryż” umiera

Strada Aurel Vlaicu /lotnik, zginął w 1913/ przecina starą dzielnicę z tyłu bulwaru Dacia. Spokojna, z ciągnącymi się wzdłuż zniszczonymi domkami, których okna ozdobione są nieskazitelnymi firankami z koronek. Lipy, bepańskie koty, śpiew ptaków. Ogródki, niektóre leżące odłogiem, inne przekształcone w warzywniki. W oddali odgłos trolejbusu. Jakiś niespokojny kogut, który ujawnia istnienie bardzo tutaj pożytecznego kurnika. Ludzie w pewnym wieku, wloką się w starych kapciach do sklepiku, z chlebem czy butelką mleka wystającą z siatki na żywność. Mieszkają tutaj starodawni ludzie.

Domek bogatszy od innych. Przed zerdzewiałą bramą ogrodu, przykryty pokrowcem ssmochód, który nie wyjeżdżał już od bardzo dawna. Jakiś bardzo stary człowiek, z leską, w berecie baskijskim, siedzi u góry na schodach. Markiza z mlecznego szkła i krzyk bzu chronią go w cieniu. Wziąłem go nawet za posąg, bo był tak nieruchomy. On stoi na straży. Nie wie, kiedy przyjedzie buldożer.

"Mały Bałkański Paryż" umiera. Ubukareszt się rodzi.

Yves Guy Bergès
/Le Point, 4.11.1985, s.83-89/

Głupie polskie sny o wolności

Wszyscy kiedyś wrócą do Rzymu
Którzy w Rzymie się urodzili
I nie czarnym złym Awentyń
Czarne wino będziemy pili

I ja także wrócę do Rzymu
Owidiuszu już kra topnieje
I od Forum do Awentyń
Wiatr jak flaga żałobna wieje

/Tristia/

1
W Rzymie urodzili się wszyscy spadkobiercy kultury basenu Morza Śródziemnego. Rzym to w twórczości Jarosława Marka Rymkiewicza utracone centrum, ojczyzna, z której nas wygnano. I nie chodzi tutaj, oczywiście, o Rzym historyczny, lecz o ojczyznę duchową, o środek naszego świata. To jest owa oś koła, o której ponad sto lat temu pisał inny poeta polski, Cyprian Kamil Norwid: "Była wiara u ludów zakreślona mitycznie na każdym wstępie do historii, że Ojczyzna leży w środku świata - jakoż pierwsze Ojczyzny nie miały granic, ale środki - a wyraz *ś r o d e k*, *ta o ś k o ła*, znaczy także i sposób: stąd i działają Ojczyzna jest przyrodzonym środkiem świata".

Aby jednak wrócić do Rzymu, trzeba wydstać się z historii niekulturalnej, z przestrzeni wygnania. Wszyscy - a XX stulecie stanowi dobitną ilustrację tego faktu - jesteśmy wygnańcami z Ojczyzny, wszyscy jesteśmy, jak Owidiusz, mieszkańcami Tomi. Tu, na wygnaniu, tęsknimy do Wiecznego Rzymu, do Republiki.

Imiona Wiecznego Rzymu są różne, gdyż są to imiona świętych miast różnych ludów. "Wielość, żeby nie powiedzieć nieskończona ilość środków świata - zauważa Mircea Eliade - nie stanowi dla myśli religijnej żadnej trudności. Ale bo też nie chodzi tu o przestrzeń geometryczną, lecz o przestrzeń egzystencjalną i świętą, która reprezentuje całkowicie odmienną strukturę i daje się nieskończoną ilość razy "przerywać", a tym samym - jest w stanie nawiązywać łączność z transcendencją". Jest w stanie - dopowiedzmy to w języku poety - odwzorowywać w sobie Wieczny Rzym, jest jego repliką. Kiedyś znaleźliśmy się tam wszyscy.

Nie jest to, oczywiście, problem w współczesnej polskiej poezji odosobniony. W nie opanowanym przez kulturę żywiole historii wciąż trwa obrona Wiecznego Miasta. Przeczytać o tym możemy w wierszu Zbigniewa Herberta:

cmentarze rosną maleje liczba obrońców
ale obrona trwa i będzie trwała do końca
i jeśli Miasto padnie a ocaleje jeden
on będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania
on będzie Miasto

/Raport z oblężonego Miasta/

Tym wygnańcem jest poeta. W jednym z manifestów Rymkiewicza przeczytamy: "gdy między mitem a rzeczywistością, między tym, co człowiecze, a tym, co nadprzyrodzone, zostanie wytyczona nietykalna granica i gdy - co ważniejsze - istnienie tej granicy będzie wyraźnie wyczuwalne przez tych, którzy zostali wygnani z królestwa mitu, poeta będzie również jednym z wygnańców. I będzie tego świadomy". On będzie Miasto.

Lecz jeśli ogień historii wędrze się do Miasta, jeśli spustoszy jego boski plan, wówczas nas wszystkich - nas: mieszkańców-nosicieli śródziemnomorskiego mitu - czeka apokalipsa, którą tak oto opisuje Rymkiewicz:

Pali się popiół miasta kości snów
W zwęglonych żebrach nieba bije moje serce

Spalony człowiek miasto podnosi się z klęczek
Nie me oczu ni ust w splątanych bandażach
Idzie przez Europę grozi pięścią Bogu
/Pali się miasto/

I to jest prawda. Wygnańcy ze świętych Miast przemierzają dziś szlaki Europy. Wyrwani ze snu, wykorzeni, pozbawieni nadziei na ocalenie, podnoszą się przeciw Bogu niosąc przez Europę swą rozpacz. Za nimi postępuje żywioł historii. To są zwiastuni, heroldowie jeżdźca Apokalipsy. A oto i on:

Jego są wszystkie siekiery pracujące w tajdze,
Usta i oczy, które zasypywał śnieg.

Jego są reflektory na strażniczych wieżach,
Wszystkie prycze w barakach i wszystkie sienniki.

Jego jest czterech aniołów w czterech stronach świata
I siedzący pod sosną żołnierz w piaszczu-pałatce.

Koń maści trupioszarej, mówi nowy przekład,
Cała krainy zmarłych za jego plecami.

/Czwarta pieczęć/
Rymkiewicz opisuje tu inwazję komunizmu. I w ten sposób Europa zmienia się w Tomi, staje się miejscem wygnania, zostaje wygnana z siebie, ogarnięta przez żywiołowy, niekulturalny ogień historii - wypalona i złupiona, pozbawiona własnej tożsamości. Poeta usłyszy wówczas straszliwy wyrok:

Ty do Rzymu już nie pojedziesz
Bo ci Rzymu już nie potrzeba
Masz tu pryczę i koc podarty
Masz za kratą kawałek nieba

Owidiuszu z więziennej celi
Wschodzi słońce ponad Troadą
I pasterze traccy w kozuchach
Przez via Cassia na kozach jadą
/Tristia/

Historia, która nie jest pamięcią - gdy staje się tylko polityczną instytucją - kwestionuje królestwo mitu. Taka historia staje się żywiołem barbarzyńskim. "Poeta na wygnaniu - czytamy w eseju Rymkiewicza - czy to dosłownym, czy wyimaginowanym, poeta otoczony przez barbarzyńców, skłonny jest zwykle do przeczuć katastroficznych". Może je zagłuszyć, ale - czytamy dalej - "wygnaniec, który nie ma ochoty na uprawianie ogrodu snów - a chyba mało kto ma na to dziś ochotę - zwraca się zazwyczaj ku przeszłości /.../. Historia rzadko jednak układa się w lekcję, w komentarz do czasu terażniejszego. Poeta na wygnaniu nie jest zresztą skłonny do takiego jej traktowania. Prezentuje powtarzające się po dziś dzień elementy czasu minionego tylko po to, by stwierdzić, że z układu tych elementów nic nie wynika. Albo wynika tylko tyle, że z historii nic nie wynika". Zaś barbarzyńcy powtarzają: "Ty do Rzymu już nie pojedziesz". Poeta natomiast notuje:

I nie wiadomo komu język
A komu jutro utną głowę
I nie wiadomo ile wieków

Ma trwać imperium ich globowe

Mieszają swoją krew z popiołem
Skrzypiąc obraca się stulecie
I nie wiadomo ile czasu
Ma jeszcze człowiek na planecie

/Tristia/

Okrutni są barbarzyńcy. Kolejne ich zastępy podchodzą pod mury Wiecznego Miasta, kolejne ich patrole wyłapują na drogach wygnania tych, którzy ocaleli po klęsce: ścinają im głowy, wyrwiają języki. Lecz tu i tam, wciąż od nowa, pojawia się nowy Owidiusz. I nie wiadomo jak i dlaczego tak się dzieje. A dzieje się tak nawet wówczas, gdy przemoc zdaje się triumfować ogarniając coraz to nowe obszary. I póki trwa poezja, póty historia nie jest ani bezsensownym chaosem przypadkowych zdarzeń, ani uosobieniem niezależnych od ludzkiej świadomości i woli praw; nie jest żywiołem. Historia jest pamięcią ludzkości, w której doświadczenie człowieka zyskuje rangę symbolu tworząc ponadczasową przestrzeń kultury. Centrum owej przestrzeni odnajdujemy w Wiecznym Mieście. Człowiek wygnany z owego centrum staje w obliczu nicości.

2

W kwietniu 1935 roku w Woroneżu Osip Mandelsztam - na trzy lata przed swoją przedwczesną i tragiczną śmiercią w stalinowskim łagrze - napisał wiersz o swojej ulicy:

A jaka to ulica?
Ulica Mandelsztama.
Co za nazwisko miał ten człowiek!
Czy je obracść tak czy owak -
Pokrętność wciąż ta sama.

Umykał z dróg prostolinijnych.
Unikał bieli dusz lilijnych -
No i dlatego ta ulica,
Czy może raczej - jama,
Nazwana jest imieniem tego
Osipa Mandelsztama.

/Przekład Stanisława Barańczaka/

Nawiązuje do tego wiersza Rymkiewicz:

A gdzie jest ta ulica Nie ma tej ulicy
Idą przez śnieg w walonkach cseracy robotnicy

A gdzie jest ta ulica To wiemy my troje
Tam gdzie kości są w ziemi jako w drzewie słoje

Nie jest to, oczywiście, jedynie poetycka retoryka - podjęcie efektywnego dialogu z umarłym poetą. Pisząc o podobnych nawiązaniach podkreśla Rymkiewicz: "Sztuka nie może żywić się sztuką, wiersz czasu terazniejszego, nawet jeśli ponawia wzór niegdyś napisany, nie żywi się /lub, powiedzmy ostrożnie/, żywi się nie tylko/ wierszami niegdyś powstałymi, bo nie przez nie i nie dla nich został ożywiony. Wiersz jest tkanką w organizmie sztuki. I jest jednym z paragrafów umowy społecznej". Ale sztuka się zmienia i zmieniają się paragrafy umowy społecznej". Nie zmieniają się jednak symbole stanowiące o jedności doświadczeń ludzi różnych czasów. Podjęcie symbolu, a także nadanie symbolicznej rangi nowemu doświadczeniu to ocalanie jedności sztuki i - przy zmienności liter - ocalanie tożsamości ducha umów społecznych naszego kręgu kulturowego.

Ulica Mandelsztama jest symbolem drogi, którą często przejść musi poeta XX stulecia. Ta ciemna i ponura ulica - "czy może raczej - jama" - jest ulicą Wiecznego Miasta. U jej wylotu - bo jest to ulica wprowadzająca nas na zewnątrz, poza granice Miasta - stajemy u progu Inne-

go Świata. Idąc tą ulicą wygnańcy wchodzą w przestrzeń, którą znamy dziś aż do bólu, a której przecucie zapisane zostało w prozie Franza Kafki. Ale przecież wiemy, że jest to przestrzeń doskonale realna. Znamy relacje z podróży w tę krainę: opisali ją i Fiodor Dostojewski, i Antoni Czechow, i - w "Innym świecie" - polski pisarz Gustaw Herling-Grudziński. Jedna z wersji śmierci Osipa Mandelstama - cytując żonę poety - mówi, że umarł z wycieńczenia, że "wrzucono go do wspólnego grobu". Ulica Mandelstama wiedzie nas zatem do zbiorowej mogiły.

Biegnie - pisze o tym Jarosław Marek Rymkiewicz -

Tam gdzie w słojach krew płynie Wszystko jedno czyja
Jak u Schuberta śpiewa długa biała szyja

Tam gdzie kości puszczają zielone gałązki
Od wieczności nas dzieli tylko chodnik wąski

Tam gdzie on sobie chodzi karmi szczygły kosy
Jak u Schuberta w pieśniach długie białe włosy

/Ulica Mandelstama/

Na zbiorowych mogiłach wyrastają drzewa, które żywią się krwią anonimowych skazańców. Anonimowych, gdyż - jak pisze Nadieżda Mandelstam - "chowano, oczywiście, bez trumien, rozbierając trupy, żeby odzież nie zmarnowała się, po kilki w jednym grobie - zmarłych nigdy nie brakowało - przywiązując do nóg zawieszki z numerami". W ten sposób wygnaniec zostaje pochłonięty przez nicość. Ocalić go może tylko nasza pamięć: i wiemy przecież, że tylko w pamięci żony przechowywały się przez lata wiersze Osipa Mandelstama.

Ulica Mandelstama to jedna z tych pokrętnych i niebezpiecznych ulic Wiecznego Miasta, przez które wiedzie ostatnia droga wygnańców. To ulica wiodące z Wiecznego Teraz w otchłań bezczasu. Tą ulicą ma odejść poeta w niepamięć:

Za nim enkawdzysta idzie w sztok pijany
A Bóg z Schubertem grają na dwa fortepiany

/Ulicy Mandelstama/

Ocaleniem z nicości bezczasu jest pamięć, która tworzy naszą historię. Pamięć zaś to - by posłużyć się terminem Rymkiewicza - ponawianie wzoru: "Poeta zapisuje to, co zamierzchłe i wciąż powracające. To zdanie jest tylko przypomnieniem. Bo zapomnieliśmy - jak zapomnieliśmy, że rytm wiersza jest rytmem snu /.../ i że symbole dane nam we śnie nie są naszą własnością, gdyż nasza pamięć jest większa niż nasze życie: sięga wstecz, i jest częścią, ułamkiem pamięci rodzaju".

O tej właśnie pamięci mówi inny polski poeta - Czesław Miłosz:

Który skrzywdziłeś człowieka prostego
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę błaznów wokół siebie mając
Na pomieszanie dobrego i złego,
Choćby przed tobą wszyscy się skłonili /.../,
Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić - narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.

/Który skrzywdziłeś/

Poeta pamięta: pamięć zaś to przetwarzanie zdarzeń w symbole. Jednym z takich symboli, które wniosły poezja do naszej historii jest właśnie ulica Mandelstama - symbol drogi wiodącej wygnańców z Wiecznego Miasta w przestwór nicości. Głosy zabitych poetów odzywają się jednak w wierszach ich następców i tak właśnie trwa historia ludzkiego rodzaju.

Jarosław Marek Rymkiewicz jest wszakże nie tylko autorem wierszy i poetyckich manifestów. Jest też twórcą historycznoliterackich i historycznych esejów. Przy czym szczególną uwagę czytelnika zwraca pewna osobliwość tych tekstów - ich nasycenie poezją. Nie są to bowiem rozprawy czy traktaty naukowe, lecz poematy, w których granica między empirycznym doświadczeniem i fikcją wyobraźni, między jawą a snem zdaje się ulegać zatarciu. Rytm wiersza, jak pamiętamy, jest rytmem snu. Ten sam rytm rządzi też i pozostałymi utworami Rymkiewicza. Tak właśnie jest w rozważaniach na temat historii: "Historia toczy się dosyć ospale /.../ - czytamy. - Również dość ospale - choć bełkocząc, mamrocząc - tłumaczy się historia przed tymi, którzy chcą ją poznać. Wydarzenia takie często miewają - rzecz pewna, że nie zawsze - kontury zamazane, kształt niewyraźny. Coś się wydarzyło, ale jakby i nic się nie wydarzyło. /.../ Trzeba więc się rabadzić, natrudzić, żeby odczytać sens, ujawnić istotę. Żeby to, co niewyraźne, uczynić wyraźnym, znaczącym. Historia - i w każdej swojej chwili - musi przecież coś znaczyć. Może i nie musi, nie znaczy. Ale tego właśnie chcemy. Nasz zmysł historyczny chce rozpoznać i pojąć znaczenie historii". Dokonuje tego nadając zdarzeniu sens symboliczny, podporządkowując je ludzkemu duchowi: "historia, pokąd ją naszą nie uczynimy - czyli pokąd jej naszemu duchowi nie podporządkujemy - też niczego za nas nie załatwi: jeśli ją pojmujemy jako jakąś siłę zwierzęcą, jako jakiś mechanizm, który kręci się jak sam chce, obcożle, to cóż ją mogą choćbychodźć nasze duchowe tarapaty? Nie ma więc na cc liczyć. Niech nasz dobry duch uzna swoją samodzielność. /.../ Niech to dobro, które jest istotą naszej kultury, samo siebie uzna za wartość najwyższą!"

W ten sposób - poprzez podporządkowanie historii duchowym wartościom - odnajdujemy sens naszego życia, także sens dziejów. By jednak to uczynić, musimy dochować wierności wartościom naszej kultury, musimy ocalić naszą dośmłość.

Nie historia zatem nadaje sens słowu poety, lecz - przeciwnie - słowo poety nadaje sens historii. Nie jest to, oczywiście, widzenie nowe. Już u schyłku średniowiecza Coluccio Salutati, uczeń Petrarcki, widział w poezji scientia universalis. Mógł tak właśnie uważać wiedząc, że język poezji jest językiem Księgi, która - poprzez symboliczny opis naszych doświadczeń - stanowi rdzeń kultury: "kto szuka swego miejsca w kulturze śródziemnomorskiej /a więc swego miejsca tu i teraz/ posługując się obrazami archetypicznymi" - pisze Rymkiewicz - ten jest poetą kultury. Jest strażnikiem tęsamości tej kultury.

Wiemy skądinąd, że poznanie w naszym kręgu cywilizacyjnym oznacza przede wszystkim czytanie Księgi. Mówi się nawet o Księdze Natury. Prawdy Księgi zaś wypowiedzane są w języku poezji. Czy będzie to ewangeliczna przypowieść, czy mit platoński - zawsze są one wypowiedzane w języku mającym wyrazić niewyraźne, ocalać tajemnicę. Zadaniem poety jest zarazem utrwalanie doświadczeń przeszłości i odnoszenie naszych dzisiejszych przeżyć do zasad moralnych, które ukształtowała kultura. Zaś kultura jest snem: "Sen nad Morzem Śródziemnym - zauważa Rymkiewicz - trwa już kilka czy kilkanaście tysięcy lat i poeta piszący tu i teraz winien sobie zdawać chyba sprawę, że urodził się nie tu i teraz, ale tam i wówczas". I winien wiedzieć także - dodajmy - że Księga naszej kultury jest Księgą Snów. Czytając w tej Księdze wprowadzamy w chaos historii własny porządek, opanowujemy dzieje przez ich podporządkowanie dobru, przez wprowadzenie w nie porządku wartości.

W ten sposób człowiek usadawia się w centrum historii - więcej: stanowi centrum historii. Tak właśnie przedstawia to autor w esaju "Wielki książę": "w mojej pamięci wszystko istnieje równocześnie./.../ Wszystko dzieje się w tym samym roku, na tej samej stronie, w tej samej głowie. Historię można pomyśleć linearnie, ale można też pomyśleć

ją inściej. Zgodnie z najgłębszymi skłonnościami naszego umysłu, naszej pamięci, wybiega ona naprzód i cofa się, i kręci się wokół. A wokół czego? Wokół tego, kto ją myśli, kto ją pamięta. Kiedy więc opowiada tę moją historię zgodnie z porządkiem pamięci, a nie z porządkiem chronologicznym, jestem w centrum, w samym środku historii".

W ten sposób pomyślana historia ciągle trwa: w Wiecznym Teraz, we śnie wszystkie zdarzenia przeszłe a nawet przyszłe dzieją się jednocześnie. Wizja poety - a Rymkiewicz w każdym swym tekście pozostaje poetą - ogarnia cały czas ludzkiego trwania, jest wypowiedzią wszystkich pokoleń. Sen jest nie tylko erupcją obrazów - jest także projekcją marzeń o życiu szczęśliwym. Dlatego historia rozświetlona jest światłem wizji przyszłości, a przyszłość jawi się jako obraz przetwarzający w sobie doświadczenia przeszłości. Słowo poety jest soczewką, w której skupiają się doświadczenia przeszłe i przyszłe.

Jeden z dramatów Jarosława Marka Rymkiewicza nosi tytuł "Życie jest snem". Jeśli pamiętamy przy tym, że autor jest zarazem tłumaczem z języka hiszpańskiego, wówczas - pomijając inne względy - stanie się oczywiste, że mamy do czynienia z nawiązaniem do "Życia snem" Pedra Calderona de la Barca. Dramat Calderona zaś, jak pamiętamy, toczy się w Polsce, w krainie z pogranicza snu i jawy. W jakiejś Utopii. W Utopii też - "w Polsce czyli Nigdzie", jak głosi podtytuł - toczy się akcja innego dramatu uznawanego dość zgodnie za prekursorski wobec ważnego dla Rymkiewicza doświadczenia surrealizmu: "Król Ubu" Alfreda Jarry'ego. Dlaczego tak się stało, że właśnie Polska w tak różnych czasach i dla tak różnych autorów stała się ową symboliczną utopią, w której jawa i sen przenikają się wzajemnie? Trudno tu tego dociekać: dość jednak wiele wskazuje na to, iż Polska Jarosława Marka Rymkiewicza jest tą samą krainą - obszarem jednego z mitów europejskiej kultury. I wierny tu pozostaje Rymkiewicz twierdzeniu Thomasa Eliota, iż "cała literatura europejska, począwszy od Homera, a wewnątrz niej cała literatura naszego kraju, istnieje równocześnie i tworzy jednocześnie porządek". Dotyczy to wszystkich literatur tego kręgu kulturowego, także literatury polskiej.

Polska w pisarstwie Rymkiewicza staje się jedną ze szczególnych krain mitycznych: "Polacy - pisze - nigdy nie mieli tyra. Nasi królowie /.../ obchodzili się z nami wyjątkowo łagodnie. /.../ Można by więc raczej rzec, że to my tyranizowaliśmy naszych królów. Na czym - jak sądzę - będąc zresztą wielkim admiratorem szlacheckiej wolności i Polski, co nierządem stała, i liberum veto: bowiem wyrażał się w tym nasz respekt dla osoby ludzkiej - nie najlepiej w końcu wyszliśmy". Opisuje tu Rymkiewicz swój sen o Polsce szlacheckiej, o Rzeczypospolitej XVI-XVIII stulecia, o wyspie bardzo specyficznej demokracji w absolutystycznej - wyjąwszy Anglię - Europie. To jest sen, którym żyją już pokolenia Polaków. Sen ów, oczywiście, idealizuje historyczne doświadczenie, ale idealizując je odwołuje się do jego istoty. Precyzyjne jej określenie znajdziemy w eseju Ryszarda Przybylskiego poświęconym polskiemu klasycyzmowi: "Klasycy nie mieli żadnych złudzeń, iż największą tajemnicą Wiecznej Polskości jest parlamentarna forma rządów". I dalej: "walka z duchem Polski, którego z reguły oskarżano o anarchię zagrażającą światu i samej Polsce, przysparzała naszemu narodowi cierpienie, uniemożliwiając mu normalny rozwój, ale skądinąd była całkowicie daremna".

Jarosław Marek Rymkiewicz jest spadkobiercą polskiego klasycyzmu. "A klasycyzm - czytamy w jednym z jego manifestów - /.../ to nie wierność temu, co się nam w przeszłości podoba. Klasycyzm to nieustanna walka o swoje miejsce w kulturze, a więc w czasie teraźniejszym, to nieustanna świadomość, że czas przeszły jest czasem teraźniejszym,

świadczośc, że nie ma idiomu poetyckiego czasu minionego i czasu teraźniejszego, bo jest jedno wielkie morze języka poetyckiego poza czasem, to wreszcie nieustannie projektowanie siebie i innych w przeszłość". I w końcu: "nie może określić swego miejsca w kulturze ten, dla którego przeszłość jest wspomnieniem, a nie nadzieją".

Parlamentarna przeszłość Polski jest nadzieją dla Rymkiewicza, admirałora szlacheckiej wolności. Może się tak dzieć dlatego, że kultura szlachty stała się z biegiem czasu - m.in. za sprawą jej upowszechnienia przez szkołę - własnością całego narodu. Jest ta kultura rdzeniem tożsamości społeczeństwa polskiego. Dotyczy to - jak zauważa jeden z historyków - zwłaszcza kultury politycznej, w której trsdycje te "stanowią /.../ historyczną podbudowę wszelkich antytotalitarnych dążeń i wystąpień".

Ten osobliwy porządek społeczny, jaki wytworzyła w Polsce polityczna kultura szlachty - kultura skoncentrowana wokół kategorii wolności jako wartości najwyższej - był fundamentem budowy równie osobliwego, bo wielonarodowego "narodu szlacheckiego", w którym te same prawa przysięgiwały Polakom, Litwinom i Rusinom, także szlachcie innej narodowości. Warto przy tym pamiętać, iż szlachta polska stanowiła niebywale liczny w stosunku do europejskiej stan społeczny - szacuje się go nawet na 15% ludności. Rzeczpospolita szlachecka była - jak stwierdza historyk Claude Backvis - "czymś wielkim posiadanym wspólnie, o co należało się troszczyć i poczuwać do odpowiedzialności". Takie też pojęcie ojczyzny utwierdziło się - zwłaszcza w okresie niewoli w XIX stuleciu - w całym społeczeństwie polskim. I do takiego właśnie pojęcia ojczyzny odwołuje się w swej twórczości Rymkiewicz widząc - zwłaszcza w wydanych ostatnio "Rozmowach polskich latem roku 1983" - iż takie pojmowanie ojczyzny jako "wspólnego obowiązku" /termin Cypriana Kamila Norwida/ kształtuje polskie sny. Że są to sny niebezpieczne, o tym nieustannie przekonuje Polaków doświadczenie historyczne - doświadczenie, które i w przyszłości nie wróży im nic dobrego. Czyż sny o tym w "Wierszu na akademię z okazji 38 rocznicy zawarcia układu o wzajemnej pomocy i przyjaźni":

Pojedziemy w bydłących wagonach
Matko Rosja bądź pozdrowiona

My jesteśmy bratija Poljaki
I to dla nas są te baraki

Gdzieś nad Obem lub Jewieajem
Będą kończyć się nasze dzieje

Będą śnić się zmarzniętej kości
Grupie polskie sny o wolności

5

Opisując tajemnice ducha polskiego zastanawia się Rymkiewicz "może ten nasz duch nie dał się podbić, przeżył, właśnie dlatego, że był, jaki był, że łaknął nieporządku, że przerażał go wszelki porządek: więc także i ten, w którym chciano go uwięzić, przy pomocy którego chciano go - chciał go jakiś inny, obcy duch - ubezwłasnowolnić. To bardzo być może. Jeśli to przypuszczenie jest prawdziwe - nie jestem tego pewien - to pod adresem tych wszystkich rozważnych ludzi, tych wszystkich moralistów, co newożują nas, byśmy składnie się rządźili, trzeba skierować takie ostrzeżenie: uważajcie, moralisci nasi, z tym nawoływaniem do porządku i z tymi oskarżeniami Polaków o anarchistyczne skłonności, bo może źle duchowi polskiemu w ten sposób słuźycie, może jego żywotności te wasze wołania wcale nie sprzyjają, może te tajemniczą żywotność wręcz osłabiają".

To zanurzenie Polaków w żywiole wolności ma swe korzenie w micie

niezwykle żywotnym w dobie Rzeczypospolitej szlacheckiej "narodu szlacheckiego" w republikanским tytuł prawdziwą ojczyznę "narodu szlacheckiego" w republikanским Rzymie. Dla Rymkiewicza jest to mit niezwykle ważny, gdyż stanowi on o tożsamości kultury narodowej Polaków, zakorzenienia ową kulturę w głębszych warstwach pamięci niż poszukująca owych korzeni w romantyzmie historiozofia ostatnich dziesięcioleci, widząca właśnie w tej epoce - a więc w połowie XIX stulecia - narodziny nowoczesnych narodów europejskich. Wedle wykładni Rymkiewicza kultura polska - w tym także kultura polityczna wielonarodowego wówczas społeczeństwa polskiego - okres swej dojrzałości osiągnęła wcześniej. Tak przynajmniej mówi mit o rzymskim pochodzeniu szlachty zakorzeniony w podświadomości.

Co świadczy o dojrzałości kultury? Świadczy o niej opanowanie buntu w obliczu śmierci. Komentując poezję XVII-wiecznego twórcy polskiego, Daniela Naborowskiego, zauważa Rymkiewicz: "Poeta jest w podróży, jest to podróż do śmierci bezbolesnej i szczęśliwej. Ten wór /odno-wiony/ będzie, jak wiemy, wykorzystywany i później, możemy więc już mówić o szkole. Czy o szkole metafizycznej? Mimo wszystkie zastrzeżenie /.../ odpowiedź powinna być twierdząca. /.../ Mieliliśmy szkołę metafizyczną i Daniel Naborowski był pierwszym poetą tej szkoły". Współczesnym uczniem tej szkoły jest Rymkiewicz, autor zbioru wierszy zatytułowanego "Thema regio", w którym owym "tematem królewskim" jest właśnie śmierć. Poezja Rymkiewicza jest literaturą szczególnego rodzaju, obrzędowym opanowywaniem śmierci. zaś opanować śmierć można tylko poprzez udział w kulturze - tylko tak bowiem można się odnaleźć w Wiecznym Teraz czyli zmartwychwstać, czyli żyć w pamięci innych, którzy myślą historię umarłych. W tym sensie pisarstwo Rymkiewicza pragnie być testamentem polskiej kultury.

Zastanawiając się w "Rozmowach polskich" nad szansami przetrwania Polaków pyta bohater Rymkiewicza: "Ciekawe - myśli - czy dzisiaj, w drugiej połowie wieku dwudziestego, z nami, z Polakami, można by dokonać czegoś takiego, czego myśmy dokonali - albo czego nasi litewscy czy nasi niemieccy pobratymcy dokonali z Jedźwingami kilka wieków temu? Czy można wyksterminować wszystkich Polaków i pamięć o nich oraz o ich dziełach wyazać z historii?" I odpowiada: "Choćby nawet jakiś inny naród zdołał wyksterminować trzydzieści sześć milionów Polaków, to i tak przecież pozostanie kilku takich Polaków, których wyksterminować się nie da: Mickiewicz, Słowacki oraz Chopin i Karłowicz są niewątpliwie nieśmiertelni. Więc nawet jeśli nie będzie już Polaków, to nadal będzie Polska, bo oni, także oni, a może nawet przede wszystkim oni są Polską". To oni tworzą Republikę, o której mowa w "Tries-tiach":

Słodka jesteś o Republiko
Odsłoń swoje wnętrze miodowe
Pojmij naszą ciemno brzęczącą
Naszą pszczelą odwieczną mowę

Bo nas chyba pszczoły uczyły
Jak się rządzić u siebie mamy
Niech usłyszą w pszczelarskim państwie
Nasze pszczele wesole gamy

Niech nam pszczeli Chopin o zmięrzchu
Gra swe ciemne pszczele pasaże
I jak pszczoły niech się poznamy
Z naszym białym mądrym pszczelarzem

Jak miód gęsty jest nasze dzieło
W jego smaku jeat twoje imię
Ulu ciepły ciemny włochaty
Republiko nasz wieczny Rzymie

To "pszczelarskie państwo", ta "słodka Republika" to - oczywiście - kraj poetów. Pszczole jest - wiemy to z lektury Plstona - symbolem poety "rozumnego szaleń". Z kolei wiadomo - tak się często w Polsce mówi - że Polska jest krajem miliona poetów. Z owym zdominowaniem myślenia politycznego Polaków przez "poetyckie szaleństwa" czyli przez "głupie polskie sny o wolności" od kilku już wieków próbują walczyć rzecznicy rozsądku i porządku. Ale - i o tym właśnie pisze Rymkiewicz - Polacy pozostają ciągle mieszkańcami "słodkiej Republiki", której centrum stanowi Wieczne Miasto. Pozostają "narodem szlacheckim" żyjącym się ideą wolności. I właśnie wyrazem tych tęsknot za utraconą swobodą było powstanie "Solidarności", ożywcze zanurzenie się w sen pozwalający utwierdzić zagrożoną przez inwazję barbarzyństwa tożsamość Polaków. Tak właśnie o tym myśli bohater "Rozmów polskich": "spróbujmy spojrzeć na tę sprawę - myśli pan Mareczek - jeszcze z innego punktu widzenia, takiego, który tylko z wielkim trudem możemy przyjąć, ale z którego będzie się można patrzeć na to wazystko, co dane nam było przeżyć, a więc i na "Solidarność", za sto albo i za dwieście lat. Otóż z takiego punktu widzenia /.../ "Solidarność" może się okazać - bo może była? - dziełem Bożym, wielkim darem, który Bóg ofiarował Polakom, aby ich pocieszyć po latach nieszczęść i rozpacz. Bo że doświadczenia tych szesnastu miesięcy jakos nas pocieszyły, jakos nas umocniły duchowo, a przede wszystkim przywróciły nam poczucie, że jednak nie jest z nami jeszcze tak całkiem źle, że jednak jeszcze coś jesteśmy warci, że na coś możemy się przydać światu, a przede wszystkim Polsce, to jest chyba całkiem oczywiste". I w innym miejscu: "bowiem w istocie nie z tego jesteśmy dumni, że co miesiąc wyciągamy z portfela po dwieście czy po pięćset złotych i ukradkiem wciskamy te nasze pięćsetki związkowym skarbnikom, ale z tego, że mamy nasz związek, że należymy do niego, że nie pozwoliliśmy go zniszczyć czerwonym, że "Solidarność" żyje, że okazała się silniejsza od siły. I będzie żyła - myśli pan Mareczek - pokąd żyje Polska, bowiem "Solidarność" i Polska to jest już to samo". "Solidarność" to życie snem o wolności, to ponownie polskich mitów przekazanych współczesnym przez kulturę Rzeczypospolitej Szlacheckiej, kulturę ludzi wolnych. To sen banitów niosących w sobie Miasto po drogach wygnania, wracających do Rzymu ulicą Mandelsztama, idących przez śmierć w przetrzeź Wiecznego Teraz.

LESZEK SZARUGA

ZE WSPOMNIEŃ MOJEGO PRZYJACIELA

Opowieść o kapitanie M.

To miejsce miało kształt nieragularnego kwadratu i powstało wskutek wyrąbania wysokopiennego lasu soanowego. Ściana lasu wydawała się jeszcze świeża, pnie miały jasno miedzianą korę drzew niedawno oddzielonych od gęstwiny. Miejsce wycięte zostało w puszczy niedawno, zaledwie rok temu, po to, aby zbudować tam kilkanaście baraków i otoczyć je drutem kolczastym. Ogrodzenie nie było strzeżone, stanowiło tylko granicę między częścią ziemi, na której mieszkają ludzie i puszcza, w której żyją zwierzęta. Wysoka ściana lasu przzerwana była na południu szeroką przecinką, u której końcu, jeśli dzień był pogodny, widać było skrawek dalekiego, zasnutego mgłą horyzontu. Tamtędy prowadziła jedyna droga w tsk zwany świat. Tą drogą przyjechali ci, którzy tutaj żyją, tą drogą przywozi się dwa razy w tygodniu chleb, beczki z soloną rybą, kapustę i kaszę, w tamtą stronę kierują się spojrzenia tych, którzy tu żyją, gdyż tylko stamtąd może przyjść odmiana ich losu. Ci,

k którzy mają pozostać tu na zawsze, odbędą tylko część drogi na południe. Pochowani zostaną dwa kilometry od obozu, na małej polance.

Skoro to miejsce oddzielone jest od wolności tak cienką, umowną niemal granicą, którą w każdej chwili można przekroczyć, to ucieczka wydaje się czymś prostym i łatwym. Ależ tak, jeśli ucieczka ma być tylko odejściem, oddaleniem się - to nic łatwiejszego. Ale ucieczka oznacza nie tylko opuszczenie miejsca, w którym się jest pozbawionym wolności, ale także dotarcia tam, gdzie byłoby się wolnym. Ta druga część ucieczki była jednak znacznie trudniejsza. Było łatwo przekroczyć granicę niestrzeżoną, potem brnąć jakiś czas wśród powalonych pni, omijając wykroty i jemy, w śniegu po pas, oddalając się od miejsca, z którego się uciekło. Ale nie docierało się nigdzie. Dookoła była bowiem przestrzeń, której tylko jakąś małą, minimalną część dało się pokonać. Ale im dalej, tym przestrzeń stawała się coraz większa, droga ucieczki wydłużała się, kończyły się zapasy, ubywało sił, z człowieka uchodziło ciepło, mróz był coraz bliżej serca i mózgu, człowiek umierał. Skąd my to wiemy? Bo z tego miejsca, na południowy zachód, w las, poszło już kiedyś trzech, wrócił jeden. Dowłókł się, doczołgał i znieruchomiał na drodze, pół wiorsty od obozu. Odratowano go, potem wywieziono do obozu specjalnego. Pięciu poszło na zachód, w stronę rzeki. Z tych pięciu nie wrócił nikt i słuch o nich zaginął. I dlatego granice obozu nie były pilnowane. Strzegło ich skutecznie to, co je otaczało: przestrzeń nie do pokonania, wartepty nia do przebycia, mróz, który przenikał wszystko, zamieniał wodę, drewno i ludzkie ciało w kamień.

Ale ludzie, których pozbawiono wolności, nigdy nie przestają myśleć o jej odzyskaniu. /Zwłaszcza, jeśli są Polakami. To nie megalomania, to statystyka - jak ktoś powiedział. Być może jesteśmy bardziej prymitywni i zachowujemy się trochę jak zwierzęta: posługujemy się najpierw instynktem, a potem dopiero rozumem. Może to lepiej? Może chroni to nas przed pochopną rezygnacją i rozpaczą? Ale mniejsza z tym/. Gdy więc człowiek zostanie uwięziony, to jego pierwszą czynnością jest obejście granic więzienia, dotknięcie muru, potem dokładne zbadanie, czy nie znajdzie się jakaś szczelina w spojeniach cegieł, jakieś luźno osadzone kraty w zaporwie, obluźniony kamień, nadłamana zasuwka - coś, co pozwoli wysłiznąć się na wolność, zaraz lub trochę później. A niektórzy ludzie, aby odzyskać wolność, gotowi są ponieść ryzyko największe - nawet ryzyko śmierci. Wydaje im się, jakby śmierć na zewnątrz więzienia - była jakąś śmiercią mniejszą, lub nieupełną. Więc niektórzy ludzie próbują uciekać z miejsc, z których wydaje się to absolutnie niemożliwe - ze skalistych wysp oblanych morzem, z lochów podziemnych, bunkrów otoczonych potrójną linią drutów pod napięciem. Zawszad. A nawet, jeśli zawiodą ich wszystkie realne nadzieje, to jednak nie rezygnują. Uciekają w marzeniach, płyną w łodziach podziemnymi rzekami, unoszą się w balonach ponad morzami i górami - w snach.

Był wśród więźniów żyjących w tym miejscu człowiek, który chociaż w poprzednich dwóch ucieczkach udziału nie brał, gdyż uważał je za bezsensowne i nie wróżył im powodzenia - nie przestał jednak myśleć o wolności. Człowiek ten był niegdyś oficerem zawodowym, a więc kimś niewykłym do myślenia praktycznego. Miał przy tym wyobraźnię, ale nie był fantastą. Jak na przykład ów profesor fizyki, o którym ktoś w obozie opowiadał, jak to siedzą w obozie jenieckim, jeszcze w czasach pierwszej wojny światowej, obliczał, ile wróbli trzeba by powiązać za łąпки, aby uniosły człowieka ponad drutami na wolność. Z rachunku miało podobno wynikać, że wystarczy wróbli około siedmiu tysięcy. Ale aby uciec stąd, z tego miejsca otoczonego lasem i tundrą trzeba by jakiegoś ptaka ogromnego, jakiegoś cudownego orła z bajki o skrzydłach gigantycznych i niespożytej sile i wytrzymałości lotu. Ale ów oficer, nazwijmy go kapitanem M., nie był fantastą. Przynajmniej nie miał się za fantastę. Przemyslał wszystko bardzo dokładnie i doszedł do wnio-

sku, że aby ucieczka mogła się udać, trzeba odebrać przestrzeni, czasowi i zimnu, tym trzem wrogom głównym, ich straszną, zabijającą ludzi siłę. Najłatwiej byłoby tego dokonać przy pomocy szybkości. Kapitan M., aby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, przemyślał i tę ewentualność, ale musiał ją odrzucić, gdyż aby korzystać z szybkości, trzeba mieć środki - samochody, samoloty, niechby nawet w ostateczności konie. Ale kapitan M. nie mógł liczyć na konie, nie mówiąc już o samochodach i samolotach. /Chociaż co się tyczy samochodów... Ale o tym później /. Przestrzeń należało zwyciężyć przy pomocy środków, którymi rozporządzał. I kapitan M. doszedł do wniosku, że dokonać tego można w jeden tylko sposób: dzieląc przestrzeń, rozbijając ją na kawałki i pokonując jeden kawałek po drugim. To był jedyny sposób.

Kapitan M. zaczął więc w wolnych od pracy chwilach, a nawet w czasie pracy w lesie przy wyrębie drzew, na zbiorce, na pryczy w baraku - wszędzie, gdzie tylko mógł - myśleć, przemyślać, a potem i opracowywać zupełnie nowy, oryginalny plan ucieczki. Podstawą tego planu było założenie, oparte o wcześniejsze wnioski, o których już mówiliśmy, że w walce z przestrzenią, czasem i mrozem nie należy rozpoczynać od uderzenia frontального, czyli na całość - ale rozegrać ją trzeba przez stopniowe ich pokonywanie. A oto jak ten plan miał wyglądać w szczegółach: ponieważ kapitan M. doszedł do wniosku, że ucieczka nie jest możliwa w żadnym innym kierunku, jak tylko na południe, z lekkim odchyleniem na zachód, więc musiały iść wzdłuż drogi, którą dowożono żywność i transportowano drewno. Była to droga najkrótsza i najpewniejsza. Ale poruszanie się nią w dzień było niemożliwe, gdyż przejeżdżali nią często samochody i co pewien czas przelatywał wzdłuż niej nisko mały, powolny samolot patrolowy. Do czego więc miała służyć droga? Do poruszania się nią, ale w nocy.

Przygotowania do realizacji planu ucieczki kapitan M. rozpoczął od bardzo dokładnych studiów i obliczeń. Na długo przed rozpoczęciem działań postarał się o zgromadzenie wszystkich możliwych danych terenowych i stworzenie na ich podstawie mapy, która mogła istnieć tylko w jednym egzemplarzu i miała być przechowana w bardzo bezpiecznym miejscu: w jego własnej głowie. Kapitan M. był dobrym kartografem i miał świetną pamięć przestrzenną. Aby białą i pustą zrazu kartę wypełnić szczegółami, trzeba było najpierw zdobyć tysiące informacji dotyczących rzeźby terenu, a więc wysokości, odległości, rzek, potoków, dróg. Nanieść mosty, wieże triangulacyjne, zabudowania, w końcu, już daleko na południu, także pojedyncze osiedla. Mogło by się wydawać, że zdobycie takich informacji w warunkach w jakich tutaj więźniowie żyli, będzie rzeczą niemożliwą - ale kapitan M. był innego zdania, i miał rację. Wiedział bowiem, że każda całość składa się z drobnych części i wystarczy pozbiierać te rozsypane elementy i w całość złożyć. W ciągu miesiąca kapitan M. i czterech najbardziej zaufanych kolegów, którzy mieli podjąć ucieczkę, odnalazło kilkaset fragmentów, które niby okrucy rozbitego naczynia glinianego, poskładane, posłużyły kapitanowi M. do odtworzenia całości. Wystarczyło tylko słuchać cudzych opowiadań uważniej, niż to się zwykle robi. Nie trzeba było nawet zadawać pytań. Dość było tylko zręcznie na temat naprowadzić. W końcu wszyscy oni, ci, którzy tutaj byli, jakoś się tutaj dostali. Pierwsi przyjechali tu zimą lub na wiosnę rok temu, ale wielu przybyło później, w lecie i jesieni. Każdy z nich zapamiętywał coś, co mógł w drodze zobaczyć. Wszyscy zachowali w pamięci jakieś szczegóły a także mniej lub więcej uchwytne poczucie czasu i odległości. Niektórym udało się nawet widzieć wielką mapę wiszącą na ścianie za czymś tam biurkiem i zapamiętać jakiś jej szczegół. Bardziej spostrzegawczy, lub tacy, którzy zawsze lubią wiedzieć dokąd ich diabli niosą, zapamiętywali nazwy miejscowości, rzek a nawet podziałki. I tak z drobnych okruców, czasem zupełnie bekształtnych, porządkując je i dopasowując, kapitan M. skleił bardzo szybko mapę, której dokładność dla jego celów była zupełnie wystarczająca. Zawierała informacje, które kapita-

nowi były potrzebne.

Następną czynnością, o wiele niebezpieczniejszą, bo wkraczającą już w sferę realizacji, było przygotowanie zapasów żywności. W tej fazie przygotowań połączone to było z koniecznością rozszerzenia konspiracji. Wszystko zostało dokładnie obliczone: na tych pięciu, którzy mieli podjąć ucieczkę, pracować miało co najmniej pięćdziesięciu. Może nie tyle pracować. Coś jeszcze trudniejszego. Przez miesiąc, każdy z tych pięćdziesięciu wyrzec się musiał codziennie około jednej czwartej chleba i jednej piątej cukru i tłuszczu. Tyle mniej więcej, jak wynikało z obliczeń, zgromadzić trzeba było żywności, aby pięciu ludzi mogło podjąć trwającą około miesiąca wędrówkę na południe, ku wolności. Będą mieli kilogram chleba dziennie, pięć dekagramów tłuszczu, mięsa i cukru. Stanowiło to dwukrotnie większą ilość niż ta, którą otrzymywali tu, w obozie, ale była konieczna, aby utrzymać przy życiu człowieka na mrozie /mimo przedwiośnia trzeba się było liczyć ze spadkami temperatur nawet do minus 20 stopni/ i umożliwić mu posuwanie się z szybkością około 15 kilometrów dziennie. Kapitan M. nie znał się na żywności, był oficerem liniowym, ale wśród zaufanych miał tu wachmistrza kawalerii, który długie lata pracował w intendaturze pułku, i kapitan M. mógł polegać na jego doświadczeniu. Co się tyczy innych spraw, to przemyślał je drobniakowo sam i był przekonany, że w jego rozumowaniu nie było żadnych błędów.

Jego koncepcje walki z przestrzenią polegać miały, jak to już powiedziano, na zwyciężeniu jej po kawałku, na rety. Organizatorzy dwóch poprzednich ucieczek, choć podobno nieźle przygotowani, popełnili ten sam błąd generalny: chcieli pokonać przestrzeń, tego najgorszego, bo nieuchwytnego wroga, jednym, długim uderzeniem. Uciekający wychodzili więc z obozu objuczeni zapasami, ciężarem, który zamiast żywić, zjadał ich siły. Robili po kilka kilometrów dziennie, po kilkudziesięciu kilometrach padali z utraty sił, a ich bezwartościowe, skreślone z rejestru żywych, uznane za zaginione ciała, znajdowały wilki i niedźwiedzie. Według planu kapitana M. pięciu zbiegów miało opuścić obóz tylko z lekkim chlebakiem, w którym noszono porcję chleba, menażkę, tytuł jeśli kto miał, jakieś tam drobniaki, łyżkę, nożyk, potrzebne do obiadu, wodnistą zupę, przywożoną z obozu i podgrzewaną na ognisku. Z niczym więcej? Prawie z niczym więcej, bo tylko z jedzeniem na dwa dni, ukrytym w kieszeniach i za pazuchą. W ciągu tych dwóch dni i nocy uciekinierzy będą już trzydzieści kilometrów od obozu. I co dalej? Po prostu: tam, w miejscu, które na mapie istniejącej w głowie kapitana M., bardzo dokładnie było oznaczone - kilkudziesiąt metrów za mostkiem na szosie, po prawej stronie, w rowie, w śniegu głębokim na półtora metra, będzie czekała na nich skrzynka, w której będzie około dziesięciu kilogramów suszonego chleba, dwa kilogramy tłuszczu, trochę solonej ryby i rzecz bardzo ważna: kociołki do gotowania zupy i herbaty. Zawartość tej pierwszej bazy żywnościowej rozłożona na pięciu będzie śmiesznym obciążeniem w porównaniu z bagażem, który dźwigali na sobie poprzedni zbiegowie. Będą potem szli nocami, szosą prostą niemal jak strzałką, a ślady po nich będzie zacięrał szybko wiatr. Na dzień schodzić będą w las. Będą tam odsypiać noc w igloo zrobionym ze śniegu /ludzie północy wiedzą, że to nie są bajki dla dzieci/, będą odpoczywać, gotować posiłki na niskim ogniu podsycałym szuszem, który daje płomień krótki, ostry, nie tworząc dymu, który już tylu ludzi uciekających przed pościgiem zdradził. Na następnym etapie, koło skrzyżowania z linią elektryczną, tym razem po lewej stronie, będzie na nich oczekiwała następna partia żywności, pięć koców, trochę prymitywnych leków i środków opatrunkowych. Takich kolejnych baz miało być dziesięć, plus dwa zapasowe, na wszelki wypadek. Ucieczka miała ruszyć dopiero dwa lub trzy dni po założeniu bazy ostatecznej. Ostrożność ta podyktowana była potrzebą sprawdzenia, czy wszystkie zapasy ulokowane zostały bezpiecznie w miejscach, w których według planu miały się znaleźć. Ale w jaki sposób miały tam dotrzeć?

W bardzo prosty, o tym powieemy za chwilę. Ale przed tym jeszcze powiadałmy pewien szczegół planu kapitana M. Otóż większość ucieczek, jak wiadomo, nie udaje się, a ci nieliczni, którzy docierają do wolności, osiągają ją w stania krańcowego wycieńczenia, na pół żywi, jak ów maratończyk, który oznajmił zwycięstwo nad Persami i padł na ziemię martwy. Kapitan M. zadbał więc o to, aby bazy ostatnie były najlepiej wyposażone. Miały zawierać więcej tłuszczu i cukru, a nawet trochę mrożonego mięsa. I pięć kompletów świeżej, wypranej białizny, kilka nowych rękawic - i dużą paczkę machorki. W ten sposób uciekinierzy, każdy następny etap walki z przestrzenią rozpocząć mieli od spotkania z czymś, co na nich czekało, co miało dodać im sił do dalszej walki. Kapitan M. obdarzony był nie tylko wyobraźnią, ale jako oficer trzech już wojen, miał duże doświadczenie z ludźmi i z sobą samym. Wiedział jak trudno jest iść naprzód, gdy się jest głodnym, niewyspanym, zmarniętym. Aby poderwać ludzi do działania wystarczy czasem bardzo niewiele: świeża onuca, chustka do nosa, papieros, kostka cukru. Dowód czyjejs pamięci, troski, zainteresowania. Niestety, chociaż kapitan M. był człowiekiem wierzącym, wiedział, że sama obecność boska nie wystarczy. Człowiek walczy i ginie na oczach Boga - ale sam. To smutne, ale tak jest.

Powiedzmy nareszcie, jak to miało być zorganizowane. Prościej, niż można by to sobie wyobrazić. Co drugi dzień, czasem, jeśli droga była nieprzejezdna, to rzadziej, wielki ciężarowy samochód zaopatrzeniowy odbywał prawie całą, czterystakilometrową trasę na południe, tam i z powrotem. W tamtą stronę jechał lekko obciążony, bo tylko pustymi beczkami i skrzynkami, wracał z żywnością. Na samochodzie jechało czterech więźniów do pomocy przy załadunku i wyładunku, a zofer i dwóch konwojentów. Jeden z konwojentów powinien był jechać w skrzyni, tam gdzie więźniowie, ale w skrzyni cholernie wiało i trzeba było kupić zakutany po nos w zeszonych kocach, więc wpychał się na trzeciego do szoferki, gdzie można było pogadać, popalić i spokojnie wypić stanki-czyka na rozgrzewkę. Więźniów na trssie nie pilnowano, bo przecież tylko wariat wyskakiwałby w lekkiej fufajce pośrodku tundry. Parę kilometrów przed bazą, do której jechali, samochód zatrzymywał się, konwojenci sprawdzali, czy więźniowie tam, z tyłu, nie zamerzli na śmierć, wyrzucali z kabiny butelki po wódce, obciążali szynę, poprawiali ozapki i w pełnej formie regulaminowo i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku meldowali swój przyjazd do bazy. Więźniowie byli bardzo dokładnie obserwowani, ale w drodze powrotnej, bo było czego szukać. Samochód wracał obciążony rzeczami, które warto było kraść. Ale w tamtą stronę, kiedy jechał pusty? Coż mogli wieźć więźniowie, oprócz siebie samych? Listy od więźniów? Nawet gdyby się znalazły w cywilnej skrzynce na listy, to i tak nie trafiłyby do adresatów. Wśród pustych beczek, baniek i skrzynek, telepiących się na zakrętach, będzie tam jechała jedna przesyłka nie różniąca się na pozór od próżnych opakowań i koło mostu na szosie wysunie się spod uchylonego brezentu i wyładuje w rowie, w głębokim śniegu. Miejsce, w które wpadnie, to niewielkie zagłębienie, zasypie okiść strącona z gałęzi drzew, wyrówna tuman śniegu wlokący się za samochodem. I tak będzie się powtarzać jeszcze dziewięć a nawet dziesięć razy. Jak wiemy, przedostatnie dwie porcje dla podniesienia ducha miały być obfitsze od poprzednich. Gdy ostatnia porcja zapasów ugrzęźnie w śniegu, kapitan M. zamierzał odczekać trzy dni, posłuchać plotek, pobserwować, powęszyć, aby się przekonać, czy droga jest wolna - i potem dopiero ruszyć.

Pierwsza faza konspiracji, której zadaniem było zgromadzenie zapasów, funkcjonowała sprawnie. W ciągu niecałych trzech tygodni, a więc znacznie mniej niż planowano, zebrano całą żywność. Nieco gorzej było z odzieżą, kocami i tak ważnymi przedmiotami jak zapałki. Ale kapitan M. spodziewał się móc te braki uzupełnić. Miał obiecane dwie zapalniczki i zapas benzyny. Klepsko też było z tytoniem, więc kapitan M. postanowił własny skromny zapas tytoniu dołączyć do ostatniej

partii. Będzie mógł pewnego dnia powiedzieć swoim towarzyszom: tytuł się kończy, trudno, taka jest prawda. Ale przed nami, w odległości dwudziestu ośmiu kilometrów czeka na nas duża paczka prawdziwej, grodzieńskiej machorki, więc naprzód, koledzy!

Przyszeli nareszcie dzień, w którym kapitan M. mógł wyekspediować na trasę pierwszą porcję zapasów. Oczekiwał z wielkim niepokojem na powrót samochodu. Ale niepotrzebnie się martwił. Wszyscy czterej więźniowie /młode, silne chłopaki, mieli jeszcze zdrowie, dostawali zresztą specjalny dodatek żywnościowy/ byli wtajemniczeni, ale trzech spośród nich nawet nie zauważyło, kiedy paczka wyleciała za burtę samochodu. Leżeli zakutani w kocach i myśleli pewnie o tłustej, gorącej zupie, która czekała na nich w bazie. Dwie następne przesyłki wylądowały w śnieżnych zaspach także bez przeszkód, w miejscach przewidzianych, tylko przy czwartej trochę się zagapiono. Była śnieżycza, która utrudniała orientację i beczulka wylądowała jakieś pół kilometra dalej, od miejsca, w którym miała się znaleźć. Ale za to następna, przy ruinach smolarni, trafiła w dziesiątkę. Rozmieszczanie zapasów przebiegåło, przynajmniej na razie, zgodnie z planem. Zmieniała się trochę pogoda: po wiatrach północnych, niosących suchy, drobny śnieg, nastąpiła cisza. Dziś na przykład było pogodnie i ciepło. W południe było tylko dwa stopnie mrozu, w nocy około dziesięciu. Zbliżała się wiosna, za jakieś trzy tygodnie, miesiąc, mogły się zacząć roztopy. Kapitan M. liczył, że za dziesięć, najpóźniej dwanaście dni będą mogli ruszyć. Będą szli na spotkanie wiosny, która będzie się do nich zbliżać od południa. Jeden z trzech głównych wrogów - mróz - będzie łatwiejszy do pokonania. Byle się nie spóźnić i nie trafić na porę, w której całe wielkie obszary lasu i tundry zamieniają się w grzęzawiska. Kapitan M. w trakcie przygotowań nie zaniedbał także studiów klimatycznych. Z rozmów z więźniami Rosjanami, znajdującymi dobrze ten kraj /z rozmów oczywiście nic nie znaczących, ot takich: a jak tu u was, kiedy lody puszczają, kiedy kwitną pierwsze kwiaty, bo u nas to już czasem w lutym kwitną bazie i takie małe białe kwiatki/, otóż z takich rozmów kapitan M. dowiedział się mógł bardzo wiele pożytecznych dla jego celu rzeczy. Zdawał sobie więc doskonale sprawę, że opóźnienie ucieczki mogło się skończyć równie tragicznie, co zbyt ni pośpiech. Maszyna konspiracyjna została puszczona w ruch, działała doskonale, ale w każdej chwili narażona była na trudne do przewidzenia, przypadkowe wydarzenia. Kapitan M. z tego także zdawał sobie sprawę, mimo to coraz częściej pozwalał sobie na chwilę marzenia o wolności, ku której się zbliżał. Nieodparta, niemal fizjologiczna potrzeba odzyskania wolności nie opuszczala go nigdy; teraz istniała w zasięgu zupełnie już realnych możliwości. Ci, którzy ich tutaj więzili, a także wielu więzionych, choć byli bądź co bądź bardzo bliskimi krewniakami kapitana M., bo byli Rosjanami, wydawali się nie mieć w sobie tej tak silnej potrzeby dążenia do odzyskania wolności. I nie byli tak jak Polacy zaprawieni w walce o nią. Kapitan M. kiedy myślał o ucieczce, gdy wyobrażał sobie jak idzie, jak oddala się, z każdym krokiem - czuł, jakby na samą myśl o tym spełniało się w nim coś bardzo starego, pierwotnego, niby instynktowne dążenia ptaków powracających, ciąg ryb wędrownych. Z każdym przebytym kilometrem czuł, jak pozbywa się po kawałku ciężkiego balastu niewoli, zrzuca go z siebie, jest coraz lżejszy i mocniejszy. Reszty tego ciężaru pozbędzie się dopiero tam, u końca drogi. Kiedy i gdzie? O tym kapitan M. nie myślał. Wiedział, że stanie się to nieprędko i daleko stąd. Na pewno dopiero po wojnie.

Pewnego ranka, po śniadaniu, zaczynało właśnie świtać /było to na początku kwiatnia, cztery dni przed planowanym wyruszeniem/, do baru, w którym kapitan M. mieszkał, wszedł strażnik, rozglądał się chwilę, potem wywołał kapitana na wartownię.

- W jakiej sprawie? - spytał kapitan M., kiedy szli w stronę bramy.

- Nie moja rzecz - odpowiedział strażnik, ale tonem dosyć grzecznych.

W obozie zdarzało się często, że kogoś wzywano na wartownię a potem do budynku komendy. Przeważnie po to, aby jeszcze jeden, kolejny raz, sprawdzić jego personalia. Trwało to nieraz godzinami. Oficer przerzucał papiery tam i z powrotem, czytał, porównywał coś, zadawał jakieś pytania, notował, czasem kazał podpisywać jakieś oświadczenia. Kapitan M. był tutaj już raz na takim przesłuchaniu, a wcześniej, gdzie indziej, niezliczoną ilość razy. Zawsze i wszędzie przesłuchujący go oficerowie wyrażali podziw dla jego znajomości języka rosyjskiego /była to jeszcze jedna okoliczność przemawiająca za tym, że kapitan M. mógł być tak zwanym szpionem/, ale kapitan M. za każdym razem odpowiadał to samo, zgodne zresztą z prawdą, że umiętność tę nabył w carskiej szkole, w której poziom nauczania języka rosyjskiego był wysoki. Przesłuchanie zasadnicze kapitan M. miał już dawno za sobą. Owe niekończące się rozmowy o różnych porach dnia i nocy, w których być może chodziło o odkrycie jakiejś niezgodności między tym, co on zeznawał a tym, co było naprawdę. O ciągłe sprawdzanie jego tożsamości i prawdziwości. A być może o nic nie chodziło. Może była to po prostu praca, zajęcie dla tych, którzy go przesłuchiwali, wozili z miejsca na miejsce - a w końcu może i dla niego, żeby się nie nudził? Może ta drobiazgowość była nie środkiem do osiągnięcia celu - ale celem samym w sobie?

Na wartowni czekało na kapitana M. dwóch oficerów NKWD. Obaj byli w szykownych, elegancko wciętych białych kozuszkach, pachnieli wodą kolońską. Wyglądali na to, że przyjechali z daleka, może nawet ze stolicy. Ale chyba z nieba spadli, bo nie widać było w pobliżu żadnych samochodów. A może byli tu już od wczoraj, a nawet parę dni?

- Kapitanie - można was tak tytułować? - spytał młodszy z nich, lejtnant.

- Proszę, taką miałem w wojsku rangę.

- Towarzyszu Iwanie Iwanowiczu - powiedział starszy rangą i wiekiem oficer - ja nie mam do kapitana żadnych spraw. Idźcie więc się przejść, jest ładna pogoda, ja tu zostanę, mam coś do przejrzenia.

Kapitan M., nawykły do tego, że wszystko, każde odezwanie co tu znaczy /albo nie znaczy nic, ale jednak czemuś służy/, zastanawiał się, dlaczego młody oficer wychodzi z nim na spacer, a starszy zostaje, bo nie ma do niego żadnych spraw? I w ogóle dlaczego kapitan M. jest prowadzony na spacer, skoro został wezwany do biura?

Oficer siedł obok kapitana, zamiast walonkami śnieg, jak to robią dzieci na przechadzce w parku. Z tyłu szło dwóch strażników.

- A wejdźmy tu, zobaczymy jak wam się żyje? - powiedziała oficer NKWD i nie chybił trafił skręcił do trzeciego baraku z prawej strony. Obszedł dookoła prycze, zdawał się nie zauważać bałaganu, nierówno zasłanych dziurawymi kocami legowisk. Zatrzymał się koło jakiejś pryczy, wziął do ręki grubą, postrzępioną książkę Tolstoja "Wojna i mir". Przerzucał kartki, zatrzymał się w jakimś miejscu i kiwając lekko głową przeczytał całą stronę, odwrócił kartkę i przeczytał chyba jeszcze pół strony.

- Gazety do was dochodzą? - spytał zamykając książkę.

- Nieregularnie - odpowiedział wymijająco kapitan M.

- No, z kiedy na przykład macie ostatnie wiadomości o tym, co się dzieje na świecie?

- Może sprzed dwóch miesięcy, coś takiego.

- Oo, od tego czasu wiele się zdarzyło. Niemcy zajęły Bułgarię, to chyba wście.

- Nie.

- Tak, zajęły Bułgarię. A trzy dni temu zaatakowały Jugosławię i Grecję. Nieładnie, prawda?

Kapitan M. miał już na końcu języka uwagę dotyczącą pewnej analogii historycznej. Z trudem się powstrzymał od jej wypowiedzenia. Wzruszył tylko ramionami.

- Słucham? - spytał oficer.

- Nic nie mówiłem.
- Zdawało mi się.

Kapitan M. bardzo intensywnie myślał i czekał na to, co oficer jeszcze powie, ale lejtnant nie wracał już do tematu wojny na Bałkanach. Kiedy wyszli z baraku oficer NKWD przystanął, rozejrzał się po obozie, zasłuchiwał się w krótki, dźwięczny śpiew samotnej zięby.

- Wiosna już idzie - powiedział.

- O, jeszcze, towarzyszu lejtnancie, do wiosny daleko - powiedział jeden ze strażników. Oficer NKWD spojrział na niego z niechętnym jakby wyrazem twarzy. Druga zięba odezwała się z lasu, ale zamilkła, bo oto gdzieś dosyć blisko rozległo się skrzypienie, potem trzask rozdzieranych i łamanych gałęzi, wreszcie huk walącego się drzewa.

W następnym baraku, zakutany w koce, z nogami okrytymi zielonym, wojskowym płaszczem, leżał więzień. Był obrócony twarzą do ściany.

- Chory? - spytał oficer NKWD.

- Tak jest, towarzyszu lejtnancie - odpowiedział strażnik. Kiedy znów wyszli na plac, kapitan M. zauważył, że w stronę wartowni w asyście trzech strażników zmierza grupa kilkunastu więźniów, ale jak mu się zdawało, nie było wśród nich nikogo z piątki, która za kilka dni miała podjąć ucieczkę. Więźniowie objuczeni byli plecakami, chlebakami albo uszytymi z worków torbami, w których nosi się i wozi cały dobytek osobisty. A więc szli w transport. W tym czasie, kiedy lejtnant zabawił rozmową kapitana M., najstarszego w obozie rangą i wiekiem więźnia, tamten drugi oficer NKWD odbierał i wyprawiał w drogę tamtych. Kapitan M. błyskawicznie przypomniał sobie i porównał wszystkie swoje dotychczasowe kontakty z NKWD, poprzedzające jakieś zmiany - i niczego nie udało mu się skojarzyć. W ich postępowaniu wydawało się nie być żadnej prawidłowości. Grzeczność, humory, dowcipy - nie zawsze zapowiadały zmianę na lepsze, a gniew, znudzenie, oburzenie, obojętność, wściekłość - nie zawsze wróżyły zmianą na gorsze. Lejtnant zapragnął jeszcze obejrzeć inne baraki. Posmutniał i zamilkł, kiedy w następnym baraku zobaczył aż trzech chorych. W pewnej chwili, spojrzawszy na zegarek stwierdził, że jest już późno, a tu jeszcze wyjada odwiedzić barak, w którym mieszka kapitan M. Tutaj znalazł słowa uznania dla porządku w nim panującego, przypisując zasługę kapitanowi M. Nie ma to jak zawodowy oficer. On ma porządek, żeby tak powiedzieć, we krwi. Lejtnant mimo, że się spieszył, poświęcił jeszcze sporo czasu barakowi, w którym mieszkał kapitan. Przerzucał uważnie kupkę książek, wśród których były dwie polskie, powieść Kraszewskiego i stary, bez okładek, kalendarz.

- To wasze książki, kapitanie? - spytał lejtnant.

- Nie, pożyczone.

- Tak. No, kapitanie, zbierajcie swoje manetki. Niedługo wyjeżdżamy - powiedział lejtnant odkładając książki. Tego się kapitan M. nie spodziewał.

- Dokąd? Jeśli wolno spytać.

- Żałuję, ale nie potrafię tego powiedzieć. W każdym razie na południe. Do cieplejszych krajów... - powiedział lejtnant uśmiechając się.

Godzinę później, dwie furgonetki więzienne poprzedzane przez samochód z oficerami NKWD, ruszyły drogą na południe. Czterdziestu więźniów /wśród nich, poza kapitanem M., był tylko jeden z tych pięciu, którzy mieli uciekać/ jechało teraz z szybkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę trasą, którą kapitan M. w swoich planach spodziewał się, w najlepszym razie, pokonywać z prędkością około dwóch kilometrów na godzinę. Małe, podłużne okienka były tak wysoko, że aby przez nie popatrzeć, trzeba było wstawać z ławki. Ale po co kapitan M. na oczach strażników, jedących samochodami, miał patrzeć przez okno na ośnieżone drzewa, na słupy linii telegraficznej, na podnoszące się i opadające łuki drutów, obwieszone sopłami lodu? Kapitanowi M. wystarczyło tylko wiedzieć, że oto po niecałej godzinie jazdy, samochody minęły miejsce, w którym po prawej stronie szosy, zagrzebana w

głębokim śniegu, leżała skrzynka z zapasami. Samochody przejechały to miejsce nie zatrzymując się i mijaly nie zatrzymując się także następne. Gdyby ta podróż miała coś wspólnego z odkryciem przez NKWD planowanej ucieczki, to na pewno samochody stanęłyby a oficerowie jadący osobowym samochodem wysiedliby i zapragnęli dowiedzieć się wielu szczegółów tej sprawy. Ale samochody jechały dalej nie zatrzymując się. Okna przysianiał ozasem tuman śnieżny strząsany z drzew lub podnoszący się spod kół samochodów jadących przodem. Czasem samochody zwalniały. Koła buksowały wtedy ciężko w zaspie, silniki wyły na pierwszym biegu, ale po chwili samochody wyjeżdżały na twardy śnieg i posuwały się naprzód. Kapitan M. mógł dalej myśleć. W której sferze konspiracji mogła mieć miejsce wsypa? Wśród tych pięciu, którzy mieli uciekać? Raczej nie. Obecność tutaj jednego z nich wydawała się przypsokowa. Tych pięciu, to byli przecież najzupełniejsi z zaufanych. Po sto razy sprawdzani w rozmowach i zachowaniu się. Wiadomo było o nich wszystko - skąd pochodzili, kim byli, gdzie służyli. Wśród wywożonych nie było też ani jednego z tej czwórki, która rzucała skrzynki z zapasami. Ale kapitan M. był pewny ich wierności. Były to młode chłopaki, mieli najniższe wyroki, po pięć lat odsiadki za głupstwa /paradowanie w mundurze harcerskim, składanie w dniu 11 listopada kwiatów pod pomnikiem Mickiewicza, za jakieś takie małe zbrodnie/. Mieli już rok poza sobą, nie opłacało by im się świnić, bo i tak przed czasem by ich nie zwolnili. A w dodatku jeden z tych młodych ludzi nie był tym, za kogo go miano. Był synem pewnego wysokiej rangi oficera polskiego, bardzo przez NKWD nieubianego i poszukiwanego. Ale tak się złożyło, że o tym wiedział tylko kapitan M.. Wydawało się więc - jeśli w ogóle to było przyczyną transportu - że wsypa nastąpiła w tej szerokiej zmowie, która była podstawą całej operacji. Ale bez jej istnienia, działania, ofierności wielu ludzi, ucieczka nie byłaby w ogóle możliwa. Kapitan zaczął o nich myśleć, przyglądał im się z bliska, jakby spodziewał się w tym długim szeregu ludzi znaleźć ogniwo słabe, które puściło. Ale nie wszystkich ich znał. Było na przykład wśród nich kilku uchodzących za porządnych ludzi, ale nie Polaków. Byli jacyś dwaj czy trzej Ukraińcy, Rosjanin, dwóch Żydów. Był nawet pewien Gruzin z pochodzenia, tak zwany kontaktowy oficer kawalerii, instruktor jazdy. Ale dlaczego z góry zakładać, że zdrajcą nie mógł być Polak? Kapitan M. nie był szowinistą. Poprzesiał więc na stwierdzeniu, że przyczyną wywózki mogło być coś, co się zdarzyło na obszarze szerokiej konspiracji, lub coś zupełnie innego. Jeszcze niewiadomego. W ciągu prawie półtora roku pobytu w więzieniach i obozach odbył już kilka wędrowek i przyzwyczaił się do nich. Taki to już był system. Polegał na ustawicznym ruchu, niepokojeniu więźniów, przesiewaniu ich, dzieleniu na coraz inne kategorie. Raz tylko, było to na początku kwietnia, skurat rok temu, na krótko przed transportem z poprzedniego obozu kapitan M. przeżył chwilę trwogi. Poczł bliskość jakiegoś wielkiego, ale nieokreślonego zagrożenia. Gdy się ma poza sobą już trzy wojny i sto razy ocierało się o śmierć, czuje się jej bliskość niemal zmysłami. A może nawet przeczuwa. Ala wtedy, przed rokiem, on był wśród tych, którzy w ostatniej chwili zostali w obozie zatrzymani. Wywożono innych. Kim byli ci, którzy teraz, wraz z kapitanem M. jechali na południe? Więżniów jadących w pierwszym samochodzie widział tylko z daleka. A ci, którzy jechali wraz z nim, byli przeważnie oficerami zawodowymi, było kilku oficerów rezerwy, dwóch czy trzech podchorążych.

Jeśli dzisiejszy transport nie był więc jednym z tych, kolejnych zwycięzajowych, a w gruncie rzeczy bezcelowych ruchów i jeśli wykluczyć wsypę jako przyczynę - to czym byłby? Może na świecie stało się coś więcej niż to, co usłyszał od lejtnanta, coś, na co kapitan M. czekał i czego się spodziewał - może Rosja została nareszcie wciągnięta do wojny i w tej chwili jej armie biją się gdzieś w dalekim wschodzie z Japończykami, albo na zachodzie z Niemcami? /Wojny z Niemcami wydawała się kapitanowi M. mało prawdopodobne, przynajmniej w tej chwili,

ale jednak nie wykluczona/. Był przekonany, że ta wojna, aby mogła się skończyć, musi najpierw ogarnąć cały świat. Ze coś mogło się stać, świadczył nieco odmienny sposób zachowania się tych, którzy odebrali kapitanowi M. wolność. Byli znacznie bardziej uprzejmi niż zwykle, można powiedzieć, że nawet przyjacielscy. I to w sposób bardziej naturalny. Oto przed chwilą jeden ze strażników poczęstował kapitana M. papierosem, usiłował nawet zagadywać, co było już zupełnie niezwykle.

Po około trzech godzinach jazdy samochodu zatrzymały się. Kapitan M. przeżył chwilę niepokoju, czy nie ma to czegoś wspólnego ze sprawą ucieczki, ale okazało się, że oficerowie z samochodu osobowego chcieli się po prostu odsiusiać. Pozwolono także wysiąść na chwilę więźniom. Po kilku minutach samochody ruszyły dalej. A kapitan M. mógł powrócić do swoich myśli. Więc jeśli transport, w którym i on jechał, nie miał być zwykłym ruchem, "żeby się kasza nie przypaliła" i przy okazji jeszcze jednym potrząśnięciem sита, aby wyłapać jakiegoś szpiona czy dywersanta, jeśli to nie było to, ani jakieś inne wydarzenie, jeszcze nie znane - to nie ma na się co dłużej nad tym zastanawiać. Pożwiom - uwidim, jak mawiają Rosjanie. I kapitan M. powrócił w myślach do swoich obsesyjnych rozważań na temat wolności. Cokolwiek będzie, cokolwiek się zdarzy i gdziekolwiek się znajdzie, kapitan M. wie, że nie przestanie nigdy myśleć o tym, jak wolność odzyskać. Gdyby nawet miało się okazać, że obóz, do którego losy go zawiodą leży pośrodku pustyni Kara-Kum, to kapitan M. wie, że nazajutrz po przybyciu tam znacznie już przemyśliwać, jakby się stamtąd wydostać. Nazajutrz? Nie, już wcześniej. Wieziony samochodem w czterdziestostopniowym upale, w dźwięcącym gardło kurzu, z wargami spieczonymi, na pół oślepiłymi oczami będzie się wpatrywał w pustynię, której nie widać kresu, z nadzieją, że znajdzie na niej jakiś choćby najmniejszy punkt oparcia dla wzroku - pojedyncze drzewo, kępę zarośli, skałę. Coś, co pozwoliłoby mu później wymyśleć jakiś sposób na to, aby się zmierzyć i pokonać buchającą żarzem pustynię. Będzie to zupełnie inny rodzaj walki niż ten, który wymyślił tam, na północy, ale nie wątpił w to, że jakiś sposób na gorącą i suchą przestrzeń istnieć musi, podobnie jak istniał tam, na przestrzeni porośniętej lasem, pokrytą śniegiem, skutą lodem. Na przykład w tej chwili przychodzi mu do głowy taki pomysł: jest noc, pięciu uciekinierów opuszcze obóz i zanurza się w czarnej pustce. Noc jest chłodna, prawie mroźna w porównaniu z dniem. Nie meją kompasu, ale po co kompas, będą szli na północ, wciąż tylko na północ, a przewodniczką niezawodną im będzie gwiazda polarna. A co będą robić w dzień, w ten jasny i gorący dzień na otwartej pustej przestrzeni, gdzie każdy poruszający się przedmiot widać z samolotu, niby z lotu drapieżnego pteka, na dziesiątki kilometrów? A, to bardzo proste: pod koniec nocy, na godzinę przed świtem, zagrzebią się w ostygniętej w ciągu nocy ziemi, jak to czynią robaki i drobne ssaki pustynne, aby nie spalić się w słonecznym żarze dnia. Poranny wiatr siejący drobnym piaskiem zasypie ślady ich stóp i miejsce, w którym zniknęli pod ziemią. Będzie potrzebne jakieś proste urządzenie, jakaś przenośna konstrukcja z płachty i paru bambusowych tyczek, żeby piasek nie walił im się na głowy. Ale to są już szczegóły. Przesiedzą więc skuleni we wnętrzu chłodnej ziemi, oddychając, a właśnie, czym? Powietrzem, które będzie dochodziło rurką. Nawet dwoma rurkami, dla wymiany powietrza zużytego. Proste. Gdy powietrze dochodzące z góry zacznie się ochładzać, będzie to znak, że słońce zniża się i gaśnie żar. Wtedy będą mogli wyjść na powierzchnię, odetchnąć świeżym, chłodnym powietrzem nocy. Pożywić się. Potem ruszyć dalej na północ.

Pustynia, pustynia. Kapitan M. niewiele o niej wiedział, ale zdawał sobie sprawę, że pustynia wysusza ciało człowieka, wypija z niego wodę, krew w nim gęstnieje, człowiek zasypia, umiera. A więc przede wszystkim woda. Około dwóch litrów wody dziennie, najmniej półtora. Jak zdobyć wodę? Zapasa wody można wziąć z sobą na dwa - trzy dni, to wszystko. A co potem? A no, trzeba będzie zbierać w nocy rosę na roz-

ściałone płachty. Poza tym płynie tam przecież rzeka, jak jej tam, Syr-Daria czy Amu-Daria, więc gdy się do niej dotrze... Ten problem będzie wymagał jeszcze szczegółowych studiów, na miejscu. Ach, byłbym zapomniał o czymś bardzo ważnym: sól, sól! - pomyślał kapitan M. Nie mógł sobie przypomnieć skąd to wie, chyba dowiedział się tego w poprzednim obozie w rozmowie z pewnym pułkownikiem rezerwy, w cywilu profesorem medycyny tropikalnej, który wiele po świecie podróżował. Otóż człowiek, pocąc się, traci nie tylko wodę, ale pozbywa się także soli mineralnych, koniecznych potrzebnych do tego, aby mogło pracować serce i inne organy wewnętrzne. Ubytek wody można stosunkowo dosyć łatwo uzupełnić - ale sól, sól! W grę wchodzi prawdopodobnie jakias niewielkie ilości, mała chyba szczypta soli dziennie, trzeba to jeszcze ustalić. Ale jak to dobrze, że kapitan M. to sobie przypomniał! Kapitan M. nie jest pewny, czy to, co w tej chwili wymyślił, będzie akurat najlepszym sposobem na to, aby pokonać pustą, buchającą żarem przestrzeń. Być może istnieje ns nią jakiś inny sposób, tylko kapitan M. na niego jeszcze nie wpadł. /Bo prawdę mówiąc, to co w tej chwili przychodzi mu do głowy, przypomina trochę ów zwiariowany pomysł z siedmioma tysiącami wróbli.../. Ale tak czy owak, est modus in rebus. A znalezienie go jest tylko kwestią czasu, bo sposób istnieć musi.

Samochód jechał teraz szybciej, miękko, bez wstrząsów. Widocznie minął miejsce, w którym droga przechodziła w szosę o twardej, równej nawierzchni. Była to mniej więcej połowa drogi. Kapitan M. siedział z zamkniętymi oczami i ci, którzy na niego patrzyli, mogli przypuszczać, że śpi. Przed chwilą jego wyraz twarzy był poważny, kapitan myślał pewnie o czymś niezbyt wesołym. A teraz jakby uśmiechał się. Mogło to znaczyć, że śni mu się coś bardzo miłego, na przykład rodzinny dom i okolica jego dzieciństwa. Mogło się wydawać, że kapitan widzi siebie, jak to często więźniom się zdarza, idącego lekkim krokiem, a właściwie jakby płynącego, lub niesionego powietrzem drogami i ścieżkami wśród drzew, przez otwierające się przed nim furtki i bramy, przenikającego bez przeszkód mury i ściany, aż do wnętrza domu, w którym nic się nie zmieniło od czasu gdy go opuszczał, w którym wszystko pozostało tak, jak było. Jest ciepło, spokojnie, bezpiecznie.

Więc tym, którzy na kapitana M. patrzyli, mogło się wydawać, że kapitan M. zdrzemnął się. A tymczasem kapitan M. wcale nie spał i niczego nie śnił. A jeśli nawet uśmiechał się, to pod wpływem swoich myśli. Bo myślenie, a nawet merzenie o wolności - to już jakby odzyskanie jakiejś jej małej, ale realnej części.

KORNEL FILIPOWICZ

TUMANY I FETYSZE

YES

YES - powiedziś Wódz

NO - powiedzieli entelektualyści

KONRAD STRUGA

MUAMMAROWI KADAFIEMU

SERDECZNE WYRAZY WSPÓŁCZUCIA
Z POWODU

UTRATY ZAUFANIA ZE STRONY

KREWNYCH ZA GRANICĄ

Redakcja „Bez Dekretu”

Kącik filatelistyczny



DRUKARZOM PODZIEMIA

Nakład: znaczki czyste - 1300 szt., cena 50 zł
znaczki stemplowane - 500 szt., cena 100 zł
koperty - 300 szt. - cena 100 zł

Cena 300 zł

14

657
CER
CER

657
CER